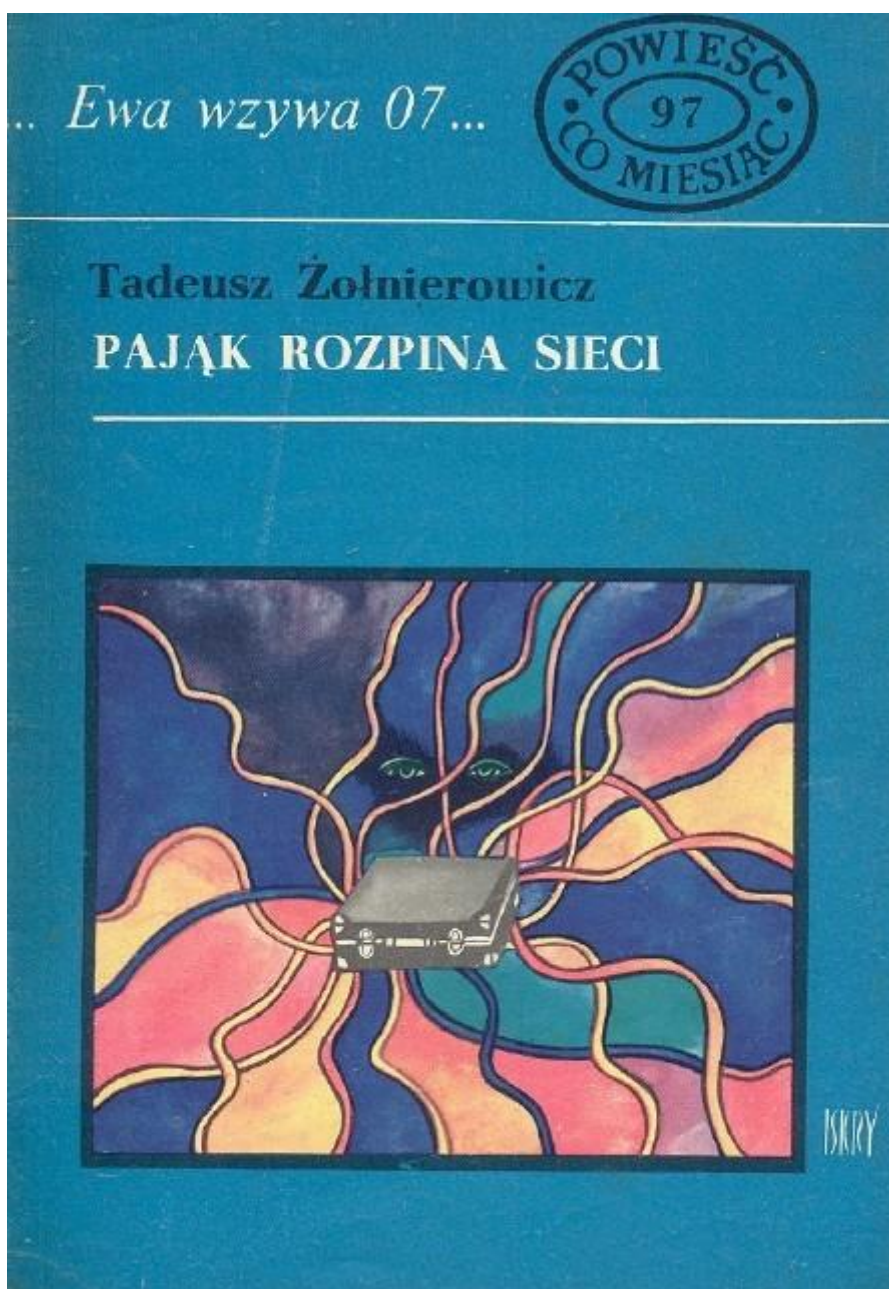


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Tadeusz Żołnierowicz

Pająk rozpina sieci



I

W poczekalni było ciemno i sennie. W jej narożniku, na ustawionych lam ławkach drzemało kilku podróżnych, przy jedynej zaś czynnej kasie marudził jakiś mężczyzna objuczony walizkami. I tylko bufet jaśniał jeszcze wszystkimi światłami — piwa była pełna beczka.

Pasażer, który z chłodnej nocy wszedł do zakurzonej poczekalni, sprawiał wrażenie człowieka mocno czymś przygnębitego. Ostrożnie postawił na podłodze czarną walizkę i sięgnął po portfel. Nie śpieszył się jednak do kasy; odczekał aż ów marudzący podróżny załatwi swoją sprawę, po czym przesunął się do okienka.

Kasjer nie od razu zrozumiał, o co mu chodzi; mężczyzna mówił bardzo cichym głosem, osłaniając twarz szalikiem, tak jakby go bolały zęby.

— Proszę głośniej! — powiedział kasjer. Podróżny odsłonił nieco twarz i powierzył już wyraźniej swoją prośbę.

Kasjer skinął głową i zabrał się do wypisywania bilem. Chodziło o stacyjkę niewielką, leżącą za Wrocławiem.

Podróżny odsunął się od oświetlonego okienka i stał nieruchomo, twarzą zwrócony ku Ścianie.

— Proszę!

Głos kasjera obudził go z odrętwienia. Sięgnął spiesznie ręką po bilet, podał należność. Pieniądze miał odliczone co do grosza, tak jakby na pamięć znał tę trasę i jeździł nią wielokrotnie. Zaraz też odszedł w drugi koniec poczekalni, z twarzą wciąż osłoniętą wełnianym szalikiem. — Boli pana coś? — zagadnęła go życzliwie jakaś babina siedząca obok. — Jeśli zęby, to szalwia pomaga, tylko szalwia...

Nie odwrócił się nawet. Po błysku oczu widać było tylko, że ta indagacja go irytuje.

Kobiecina wcale tym nie zrażona pokiwała ze współczuciem głową. — Widać mocno boli...

Odsunął się od niej o kilka kroków, spojrzął na wiszący na stacji zegar. Zbliżała się północ.

Pociąg miał nadjechać za kilkanaście minut. Dźwignął więc z podłogi walizkę i rozejrzał się niespodziewanie bystrym wzrokiem. W jego oczach czał się lęk.

Stał tak chwilę bez ruchu, po czym ostrożnym krokiem, jakby dźwigał jakiś wielki ciężar, mszył ku wyjściu.

Kiedy mijał bufet, zagroziło mu drogę kilku piwoszów. Z kuflami w rękach przekrzykiwali się wzajemnie.

Mężczyzna chciał ich ominąć. Nic pozwolili mu na to. Byli porządnie podpici, agresywni.

— Kolego, po jednym! — zapraszali nalewając do piwa wódkę z butelki ukrytej pod kurtką.

— Odsunął energicznie podsunięty mu kufel. Odwrócił się i niemal biegiem puścił w stronę drzwi.

— Patrzcie go, abstynent! — zaśmiał się mężczyzna z butelką w ręce. Drugi upił łyk piwa i trzymając gapowato dłoń przy ustach pełnych piany, patrzył długo w stronę wyjścia.

— Znajomy? — zagadnął go trzeci z piwoszów. Skinął machinalnie głową, chociaż nie był tego tak bardzo pewien. Machnął wreszcie ręką i wrócił do kufla z nie dopitym jeszcze piwem.

II

Kobieta niepewnie stanęła w progu; miała zaczerwienione oczy i w ręce zaciskała kurczowo chusteczkę.

— Czy pan komendant?

— Nie, ale o co chodzi? — zapytał sierżant.

— Chciałabym z komendantem.

— Nie ma.

— A kiedy będzie? Uśmiechnął się.

— Nie doczeka się pani. Za dwa tygodnie. Ale proszę przedstawić sprawę. Właśnie go zastępuję.

Przyjrzał się uważnie przybyłej. Chyba ją znał, ale w tej chwili nie potrafił powiedzieć skąd. Posterunek milicji w Kozłowie obejmował kilka okolicznych wsi. Trudno było spamiętać wszystkich mieszkańców...

Kobieta zachęcona gestem sierżanta przysiadła na brzeżku krzesła. Miała zmęczoną, szarą twarz i nieruchome spojrzenie.

Sierżant odczekał chwilę. Nie potrzebował jednak jej zachęcać. Zaczęła mówić sama.

— Ja w sprawie męża...

— Bije?

— Pan mnie nie rozumie, mój mąż opuścił mnie...

Sierżant rozłożył wymownie ręce.

— I zostawił z dziećmi?

— Nie mamy dzieci... Pokiwał współczująco głową.

— No tak... Czego jednak pani od nas oczekuje?

Spojrzała na niego wzrokiem cierpiącego człowieka.

— Pana to może zdziwi, ale pomocy w odszukaniu męża.

— Nie do nas to należy. Wielu odchodzi od swych żon. Codziennie. To sprawy dorosłych ludzi. Zwłaszcza gdy nie ma dzieci...

Skurczyła się na krześle. Zrobiło mu się jej żal. Wyszedł zza biurka i stanął obok niej.

— Jak to było? — zagadnął już mnie oficjalnie, niemal po przyjacielsku.

Kobieta podniosła na niego załzawione oczy. — Źle nam się ostatnio ze sobą żyło. Był może i dobry, ale dziwnie zamyślony, oschły. Złościł się przy lada okazji. Tydzień temu posprzecaliśmy się ostro. Miałam już tego dość. Spakowałam rzeczy i wyjechałam do rodziny. Myślałam, że mu przejdzie, i wszystko wróci do normy. Kiedy przyjechałam trzy dni temu, nie było go już w domu. Odczekałam dzień, dwa, nic doczekałam się jednak...

Sierżant zamyślił się.

— A może — powiedział ostrożnie — podobnie jak pani, pojechał do swej rodziny. Wróci, gdy mu przejdzie pierwsza złość.

Zaszlochała w odpowiedzi,

— Nigdy tego nie robił. Zresztą nie ma żadnej rodziny. Nie tylko ojca, matki, ale i dalszych krewnych... A poza tym...

Czekał cierpliwie, aż opanuje łkanie.

— Poza tym ma tu swoje obowiązki. Wyjechał chyba w niedzielę, bo widziano go w sobotę, a dziś jest już wtorek i od dwóch dni sklep jest zamknięty...

— Sklep?

— Tak. Jest kierownikiem sklepu geesowskiego u nas w Marciszowie. Ludzie już psioczą. Boję się, że... — Znowu spazmatycznie załkała.

— No tak — potarł ręce sierżant — to w istocie poważna sprawa. I nic zostawił żadnego listu, nawet najmniejszej kartki?

— Nie. Po prostu wyszedł z domu...

— A jego zwierzchnicy w powiecie?

— Pewnie jeszcze o niczym nie wiedzą. Chyba że któryś z klientów polecał ze skargą. Są zniwa, więc wielu teraz kołacze do zamkniętych drzwi.

Sierżant wrócił za biurko i przerzucił niecierpliwie parę kartek w notesie. Powoli, uważnie wykręcił numer telefonu.

III

W sklepie wszystko na pozór było w porządku — towary' leżały poukładane na półkach, w kasie znajdowało się trochę bilonu i kilka banknotów. Prezes GS z powiatu natychmiast zarządził remanent. Takie nagłe zniknięcie kierownika nic wróży przecież niczego dobrego...

Podejrzenia sprawdzili się już następnego dnia; kontrola w sklepie ustaliła wstępnie manko w kwocie co najmniej stu tysięcy złotych...

— Bójcie się Boga, w takim sklepie?! Co robiły poprzednie komisje?

Poprzednia kontrola, jak się okazało, pracowała przed trzema miesiącami. Stwierdziła zresztą jedynie niewielką superatę.

Skąd więc taki niedobór w ciągu kilku tygodni?

Były to na razie tylko wstępne ustalenia. Po tygodniu wiedziano już więcej: Kierownik Albin Grochołski zagarnął na szkodę GS gotówkę w wysokości około dwustu pięćdziesięciu tysięcy złotych. Przystępstwa tego dopuścił się podrabiając kwity kasowe, podmieniając towary, a ostatnio nawet zawyżając bezprawnie ceny na pewne artykuły

Zniknięcie z domu miało więc teraz przejrzyste motywy.

IV

Do drzwi zapukał ktoś ostrożnie. Sierżant Kuraś kończył właśnie poranną kawę. Rzadko jadał śniadanie w domu, zabierał więc ze sobą termos, kanapki... Pukanie powtórzyło się. Otworzył drzwi.

Na progu stał mężczyzna z czapką mimo upału nasuniętą na uszy. Sierżant skrzywił się.

— No, wejdźcie. Co się znowu stało? Przybysz postąpił dwa kroki naprzód, rozejrzał się niepewnie.

— Nic takiego... — zapomniał jednak nawet zdjąć czapki.

Sierżant przystanął przy nim.

— Pukaliście, więc wam otworzyłem. Mówcie. Przybysz zdobył się wreszcie na odwagę.

— Ja w sprawie Grocholskiego. Sierżant okrążył biurko i usiadł na krześle.

— Słucham.

Mężczyzna zdjął wreszcie czapkę. Miętosząc ją w ręce podszedł o krok bliżej.

— Pan sierżant mi nie uwierzy...

— W co?

— Że widziałem Grocholskiego. Sierżant podniósł się z krzesła.

— Kiedy? Gdzie? Mężczyzna odchrząknął.

No wtedy, kiedy zniknął...

— Ach tak...

Kuraś odprężył się, sięgnął po papierosa.

— Palicie? — wyciągnął paczkę w stronę stojącego. — I usiądźcie wreszcie.

— No, więc — zaczął sadować się ostrożnie na krześle i obracając nerwowo w palcach papierosa — byłem wtedy na stacji w Sędziwojach...

— Po co?

— Poszedłem z kolegami na małe jasne. Pan sierżant wie, że tylko tam można czegoś się napić...

Kuraś, który nie spuszczał z niego wzroku, skrzywił się lekko.

— Poszliśmy więc — ciągnął przybysz — wypiliśmy po jednym kufelku, zamówiliśmy właśnie drugi, kiedy zobaczyłem przed sobą Grocholskiego...

— Sta! też przy bufecie?

Nie, szedł z walizką na peron. Z taką małą czarną walizką. Nic od razu go dostrzegłem, dopiero kiedy przystanął. Miał twarz osłoniętą szalikiem, może bolały go zęby.

— Poznał was?

— Przeszedł obok mnie i też udawał, że mnie nie widzi. A może naprawdę nie zauważył, wyglądał na przygnębitego...

— I tyle?

— Co tyle?

— Tyle tylko w tej sprawie wiecie?

— A to mało?

Sierżant załagodził swoje słowa.

—Dziękuję wam, Marcinkowski, dziękuję. Po prostu stwierdziłem fakt; tylko tyle widzieliście...

— Ano tak. Nawet nie jestem pewien, dokąd pojechał. Ale chyba do Wrocławia, bo o tej porze przejeżdżał tylko ten pociąg...

Nie wstawał jeszcze z krzesła, zastanawiał się nad czymś.

— Nie wiem, czy to, co powiem, będzie do czegoś potrzebne, ale zauważyłem coś jeszcze...

Sierżant spojrział na niego z ukosa. Nie wiedział, czy ma wierzyć temu wioskowemu pijaczynie, czy traktować jego wynurzenie jako swoisty akt dobrej woli. Marcinkowski znany był z wielu pijackich rozróbek i dość często sypiał na twardej pryczy w komisariacie. Teraz jednak przyszedł sam; trzeźwy i pełen dobrych chęci.

— Mówcie! — zachęcił go.

—Grocholski, jak pan sierżant wie, nie należał do ludzi towarzyskich. Rzadko wypił albo z kimś się spotkał, a jednak zauważyłem, że ktoś go kilka razy odwiedził.

— No to co? — zniecierpliwził się sierżant.

—Może nic, ale ten człowiek zawsze przyjeżdżał tylko do jego sklepu. Po raz pierwszy zobaczyłem go dwa miesiące temu, potem był jeszcze raz... Może trzy tygodnie wstecz.

Sierżant stracił już wszelkie zainteresowanie dla mętnych wywodów swojego rozmówcy. Najwyraźniej Marcinkowski urozmaica! sobie wiejską nudę, zabawiając się w detektywa. I dlaczego go tak szczególnie zafrapowały odwiedziny jakiegoś mężczyzny w sklepie prowadzonym przez Grocholskiego?

— A po raz trzeci zobaczyłem go wczoraj!

—Wczoraj? Tu? — Sierżant wyprostował się na krześle. — Nie bujacie?

— Widziałem, to mówię. Wyszedł z wozu...

— Przyjechał samochodem?

— Nie mówiłem tego? Przyjeżdżał zawsze pięknym wozem. Nie znam się na samochodach, ale to była ładna maszyna... No więc wysiadł z tego samochodu, podszedł do zamkniętych drzwi sklepu i chwilę mocował się z klamką. Nie wiedział chyba, co się u nas stało... Kiedy spostrzegł kłódkę, postać chwilę i wrócił do wozu...

Sierżant postanowił wypytać Grocholską, czy nie odwiedził jej przypadkiem ten tajemniczy mężczyzna. Może go przysłał jej mąż, który prawdopodobnie gdzieś się przytaił i kontaktuje się ze swoją żoną przez jakiegoś kolegę... I takie rzeczy się zdarzały. Wówczas jednak Grocholska musiałaby coś wiedzieć o jego przestępczych zamiarach, tymczasem kobieta, wszystko na to wskazuje, że można było jej wierzyć, zaprzeczyła kategorycznie tym domniemaniom.

Zawsze jednak warto sprawdzić...

Podziękował skinieniem głowy Marcinkowskiemu za jego relacje. Ten stał jednak ciągle w progu.

— No, co jeszcze?

Marcinkowski przestąpił z nogi na nogę. — Jeśli mógłbym prosić pana sierżanta o łagodne potraktowanie mojego ostatniego wybryku przy gospodzie...

Sierżant porwał się od biurka z trudem hamując wzburzenie. Marcinkowskiego już jednak nie. było w pokoju...

V

— Na Biskupin?

Odwrócił się do swojego nocnego pasażera. Okazało się jednak, że nie zrozumiał dobrze dyspozycji.

— Dalej!

Kiedy usłyszał nazwę miejscowości, otaksował uważnie w lusterku postać mężczyzny. Wygląda! przyzwoicie, wiek około czterdziestki pięćdziesiątki, skórzana, modna kurtka, ciemne okulary i bagaż — czarna walizka.

Kurs był jednak daleki — półtorej godziny dobrej jazdy.

Przy pustoszejących już — ulicach śródmieścia przemknęli mostem na Odrze, minęli ogród zoologiczny i szarzącą w mroku obłą kopułę Hali Ludowej. Pod grubymi konarami ulicznych drzew przejechali zwarty rząd domków willowych Biskupina. Szosa podmiejska ginęła w granatowym nieboskłonie.

Pasażer wyglądał na milczka. Nie zerkał nawet przez okienko. Zresztą ciemność była gęsta i tylko tu i ówdzie błyskały jeszcze okna gotujących się do snu mijanych wsi.

— Do krewnych?

Zagadnął pierwszy taksówkarz. Nie lubił takich nocnych kursów z pasażerami milczącymi jak gła2. Tym bardziej, że wychynęli właśnie na absolutne pustkowie.

Mężczyzna siedzący z tyłu i teraz nic nie odpowiedział — pokręcił tylko przecząco głową. „Dziwak” — skwitował więc w duchu zachowanie się pasażera.

Na dwudziestym kilometrze od Wrocławia mężczyzna poruszył się niespodziewanie, położył rękę na ramieniu kierowcy. Ten zareagował na to więcej niż gwałtownie — przyhamował niemal na miejscu, wozem zarzuciło, spod kół trysnęły smugi żwiru z pobocza.

— Co znowu?! — odwrócił się do pasażera — widział pan, co mogło się stać?...

Tamten jednak nacisnął klamkę i wyskoczył z „Warszawy”. Taksówkarz zaniemówił. Wyglądało to na ucieczkę... W tym samym momencie był już przy człowieku z walizką.

— Już?

— Co już?

— Wysiadł pan...

— Rozmyśliłem się, nie pojedę do miasteczka. Stąd będzie bliżej do stacji.

— Pana sprawa. Umowa jednak była... Należą się pieniądze.

Pasażer bez słowa sięgnął do kieszeni. Znalazł w niej portfel, ale w świetle reflektorów, szarzały w nim tylko dwie dwudziestozłotówki.

— Za mało — pokręcił głową kierowca — niech pan zresztą spojrzysz na taksomierz...

Ciągle był czujny. Różnych już przecież woził, a tu noc, pustka, żywego ducha w promieniu kilometra...

— Racja — przemówił wreszcie mężczyzna. Jeszcze raz sięgnął do kieszeni kurtki. I znowu bezskutecznie. Stał tak chwilę bezradny, jakby zażenowany. Wreszcie powrócił do wozu, postawił walizkę na tylnym siedzeniu i pstryknąwszy zatrzaskami, otworzył ją na chwilę.

Ten ruch trwał sekundę, dwie, a przecież taksówkarz, napięty i uważny spostrzegł zawartość czarnej walizki i oniemiał: równo poukładane leżały tam paczki banknotów.

Wiek walizki w następnej sekundzie znowu się jednak zatrzęsnęło i kierowca poczuł w swojej ręce banknot.

— Starczy?

Jeszcze osłupiały, nie zdążył odpowiedzieć, bo pasażer zbiegał po zboczach drogi w kierunku pobłyskującej na niebie łuny dalekiego miasteczka. Dopiero w wozie obejrzał wręczone mu pieniądze. Była to pięćsetzłotówka. Gwizdnął z uznaniem — ten facet nie narzekał chyba na brak gotówki. Szczęśliwy totolotkowiec lub spadkobierca taszczący schedę po zmarłej bogatej ciotce?...

Myślał o tym aż do przyjazdu do domu. Rozespana żona wysłuchiwała jego opowieści bez zainteresowania. Dopiero kiedy wspomniał o czarnej walizce pełnej pieniędzy, chwyciła go kurczowo za ramię.

— Czarna walizka? Potaknął machinalnie.

— To chyba ten z telewizji... Nie zrozumiał.

Wyjaśniła mu więc, że w ostatnim dzienniku telewizyjnym podano listem gończym komunikat o człowieku ściganym „za poważne nadużycia”. Mężczyzna ten miał micy ze sobą czarną walizkę.

Wysłuchawszy tej relacji, kierowca nie spał już do rana. Skoro świt pobiegł po gazetę. Komunikat podawała również prasa.

VI

Kapitan Sieniuc z Komendy Wojewódzkiej nie był zbyt zadowolony z faktu powierzenia mu sprawy „aferzysty z GS”, leniwie przerzucił ostatnie związane z nią meldunki; najbardziej konkretny pochodził z

Wrocławia: taksówkarz Emil G. wiozł 36 godzin temu jakiegoś podejrzanego człowieka z czarną walizką, pełną pieniędzy...

Pochylony nad papierami nawet nie zauważył wejścia porucznika Altara. Z zamyślenia wyrwało go głośnie chrząknięcie młodego oficera.

— A, to ty. Siedzę właśnie, jak widzisz...

— No i co?

— Niewiele. Człowiek ten zagrabił majątek, wyszedł jak gdyby nigdy nic z domu, dojechał pociągiem do Wrocławia, a stamtąd udał się taksówką w stronę Jeleniej Góry;. Wsiadł jednak w miejscowości położonej o dwadzieścia kilometrów za miastem — i tam trop się urwał.

— To niedużo...

— Zastanawia mnie jednak jedno... Ten człowiek, mówię o Grocholskim, według relacji kasjera wystawiającego mu bilet, jechał do stacji położonej mniej więcej trzydzieści kilometrów przed Wrocławiem. Skąd więc się znalazł w kilka dni później we Wrocławiu, i dlaczego nie jechał tam bezpośrednio?

— Może miał jakieś plany?

— Jeśli by je miał, nie paradowałby później z walizką pełną pieniędzy, lecz starał się je ukryć właśnie w tej niewielkiej miejscowości, do której zdążył... Wyglądało przecież na to, iż miał tam swoją upatrzoną melinę...

— Powiedzmy...

— Pieniądzy jednak nie ukrył.

— Co z tego wynika?

— ? Może nic, a może wiele... Należałoby sądzić, że chciał tam, w tym miasteczku, albo przeczekać gorące chwile, albo z kimś się spotkać. Nikt przecież nie ucieka ciemną nocą z ćwierćraju — wymajątkiem, ot, tak, bez celu, byle przed siebie. Śpieszył się więc... Czyżby robił to bez planu?

Kapitan zgarną! szerokim gestem dłoni papiery zalegające blat biurka do uchylonej szuflady.

— W tej sytuacji trzeba zbadać dokąd jechał, z kim się kontaktował. W końcu ktoś go musiał widzieć. Chociażby na tej stacyjce, do której domniemany Grocholski zdążył pieszo po opuszczeniu wrocławskiej taksówki.

— Warto również bliżej zainteresować się relacją tego pijaczka z Marciszowa, o którym nas informował zastępca komendanta posterunku w Kozłowie. Jeśli bowiem w istocie ktoś chciał się skontaktować z „słomianą wdową” po kierowniku sklepu...

— Z tej informacji wynikało, że tajemniczy posiadacz pięknego samochodu kołata) jedynie do drzwi zamkniętego na głucho sklepu. O wizycie u Grocholskiej nie było mowy...

—? Tak, tylko że indagowana między innymi w tej sprawie małżonka defraudanta nie powiedziała ani tak, ani nie... Raczej powstrzymała się od wyrażenia swojej opinii. Wygląda więc na to, iż coś kręci. I w ogóle jej wyjaśnienia są mętne.

— Miejmy nadzieję, że wszystko to wyjaśnimy dokładnie po ujęciu sprawcy przestępstwa. Jeśli bowiem nadal będzie on paradował z tą walizką...

VII

Spadł właśnie deszcz, ulice lśniły od wilgoci. Beżowy „fiat” zroszony obficie wodą skręcił w uliczkę, a z niej wyjechał w podwórze, gdzie mieścił się garaż. Kierowca wysiadł, chwilę pomanewrował przy skobelku zamykającym bramę, aż wreszcie jedno skrzydło uchyliło się.

Na górze czekała ze spóźnioną kolacją żona.

— Co tak długo? — Żeleński skrzywił się.

— Chyba rozumiesz. Zaczął się rok szkolny. Oddajemy ostatnie obiekty. Czas nagli...

— Zjesz coś? — zapytała.

— Znowu ta kiełbasa! — obwąchał talerzyk z grubymi porcjami wędliny— wiesz, że jej nic znoszę...

— Taką dostałam — odparła sucho. Patrzyła chwilę na jedzącego. — Był telefon — przypomniała sobie.

— Od kogo? — nic podniósł nawet głowy.

— Nie wiem, nic przedstawił się. Chciał cię zobaczyć...

— Mógł zostawić swój numer.

— Nie zostawił, ale był dość natarczywy. Dopił herbaty i podszedł do telewizora. Aparat nagrzewał się dość długo, zachrypiął jednak wreszcie i odezwał się głosem „Wicherka”.

— Znowu deszczowo... — powiedział zniechęcony patrząc zmęczonym wzrokiem na prezentowaną na ekranie planszę — a jutro sobota. Moglibyśmy się gdzieś wybrać...

— Dokąd? — zapytała bezbarwnym głosem — do Mietków?...

— Dlaczego do Mietków?

— No bo wiesz...

Zacisnął szczękę. Znowu! Od pewnego czasu posądza go o tajny romans z młodszą siostrą kolegi z pracy. W istocie ta kobieta podoba mu się nawet, ale przecież nie na tyle... Ot, zwykłe babskie przewrażliwienie. Zmilczał kolejne słowa żony. Wpatrzony w telewizor przeżuwał nagłą złość. Kończył się już dziennik, spiker podawał komunikat, znowu ktoś obłowił się na prowadzonym sklepie...

Znieruchomiał. Czy padło właśnie to nazwisko? Pochylił się w stronę szklanego ekranu i wpatrzył w zdjęcie poszukiwanego. Nie było wątpliwości, to on...

Żona przedefilowała przez całą szerokość pokoju, stanęła przy ekranie.

— Nie pozwolę na lekceważenie mnie! — rzuciła dobitnie, pełna wściekłości. Trzasnął przycisk, kwadratowe światelko powędrowało w głąb telewizora, zgasło.

Odetchnął głębiej. Nie miał zamiaru obrażać się, był zmęczony. Wstał z fotela i podszedł do małego sekretarzyka, błyszczącego inkrustacją. Szukał chwilę niecierpliwie notesu. Znalazł wreszcie. Podniósł słuchawkę i nakręcił spiesznie numer. Usłyszał daleki długi sygnał. Telefon nie odpowiadał...

— Dzwonisz? Znowu dzwonisz! — Odezwała się żona.

Popatrzył na nią niewidzącym, bezmyślnym wzrokiem.

VIII

Czarną walizkę, ukrytą w krzakach, znaleźli mali chłopcy bawiący się w „Winnetou i kowbojów”, zajrzeli do jej wnętrza. Nie znaleźli jednak nic. Podrzucając ją więc wesoło w górę, była bowiem lekka jak piórko, pobiegli do wsi. Jeszcze tego samego dnia Komenda Wojewódzka MO we Wrocławiu otrzymała meldunek, że we wsi Morki położonej o dwadzieścia parę kilometrów od miasta, wiejskie dzieci znalazły czarną walizkę.

Wysłano natychmiast ekipę dochodzeniową wraz z psem tropiącym. Pies, któremu dano do obwąchania przedmiot, postąpił chwilę nad nim, a potem ruszył przed siebie, z nosem utkwionym w ziemi.

W kilkanaście minut później milicjanci dotarli do leśnych chaszczki. Tam, gdzie znaleziono włócznie walizkę.

— Szukaj! — rzucił przewodnik.

Pies podniósł łeb, zastrzygł uszami. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Wreszcie znowu przywarł nosem do ziemi i powędrował w głąb lasu. Dotarł wkrótce do przesieki, przeszedł ją na ukos i utkwiał przy szerokiej polnej drodze. Obrócił łeb, patrząc na przewodnika. — Szukaj!

Zerwał się gwałtownie i przeskoczył drogę. Zaraz za wsią trafił znowu na trop, ale szedł nim tylko przez kilkaset metrów— . Potem znów wrócił na trakt, smyrznął nosem po jego obrzeżu i siadł niespodziewanie na zadzie.

O kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyli niewielką stacyjkę, a tuż, o krok niemal lśniąca linię szyn.

IX

Żeleński wyjechał z domu wczesnym rankiem. Postanowił, że zwolni się z pracy na jeden dzień i odwiedzi Zenona. Jeszcze nic mógł się opędzić od przykrych myśli wywołanych wczorajszym komunikatem milicji.

W przedsiębiorstwie nie robiono mu trudności.

— Sprawy rodzinne, panie Żeleński? No to trudno, ktoś pana zastąpi...

Wsiadł znowu do „Fiata” i lawirując ostrożnie pomiędzy ciężarówkami, wydostał się na ulicę. Do Zielnej było dziesięć minut jazdy. Na szczęście nie denerwującej — miasto dopiero wstawało, ruch był niewielki. Zagłębił się w kręte uliczki leżące na drugim brzegu Odry.

Na Zielnej było spokojnie. Zenon mieszkał w małym domku niegdyś zapewne jednorodzinny i jako czwarty lokator zajmował samotnie pokój na poddaszu.

Żeleńskiemu przypomniały się młode lata... Nie wiodło mu się zbyt w tedy... Wytarty garnitur na co dzień, skromne knajpki, do których wpadał czasem „na jednego”...

Zamyślił się z rękami opartymi o kierownicę, już zaparkowawszy samochód przed domem. Wyszedłszy z auta uśmiechnął się melancholijnie do tych odległych wspomnień.

Chwilę mocował się z oporną klamką furtki. Nacisnął ją wreszcie energicznie. Furtka skrzypnęła. Przy drzwiach zawahał się. Właściwie czego chciał od Zenona? Zapytać o coś? Czy jeszcze raz powrócić do starych wspomnień? Bo przecież „ten trzeci” żył tylko swoim życiem. Chociaż... Przypomniawszy sobie pewną sytuację i niepokój znów zdławił mu gardło.

— Pan do kogo?

Drzwi były nadal zamknięte, a to pytanie rzuciła kobieta, która wysunęła swoją głowę szarą twarzą z okna.

Wymienił nazwisko.

— Nie ma...

— Nie widziała go pani?

— Nie.

Była uosobieniem lakoniczności. Może jednak w tych słowach tkwiła tylko niechęć do niesympatycznego lokatora. W takich małych domkach rzadko sąsiedzi się lubią...

Machnął więc ręką i zszedł ze schodów dzielących go od ścieżki małego ogródka.

Silnik nie od razu zaskoczył. Potem jednak nabrał klarownego dźwięku. Postanowił wrócić do miasta.

Minął plac Grunwaldzki. Skręcił koło Dworca Głównego i wtedy zobaczył Zenona. Szedł szybko przez jezdnię, trochę przygarbiony, z troską na twarzy.

Zahamował gwałtownie, o kilkanaście metrów przed nim. Otworzył drzwiczki, zawołał. Ale czy to gwar przytłumi! jego głos, czy tamten był zamyślony, dość że nie odwrócił się i nic spojrzął. Mimo to był niemal pewien, że Zenon go zauważył. Tylko nie chciał chyba widzieć...

Nagle spochmurniały. ruszył przed siebie.

X

Dyskretna inwigilacja „słomianej wdowy”, Grocholskiej, nie dawała żadnych rezultatów. Zamykała się na długie godziny w swoim mieszkaniu, nie odwiedzała sąsiadek. Czy ponosiła jednak jakkolwiek winę za to, co się stało?

Kapitan był zdania, że nie.

— Mąż był człowiekiem zamkniętym w sobie, przestępstwa mógł więc dokonać pod wpływem jakiegoś impulsu. Jakiego jednak, oto jest pytanie!

— Może trzeba szukać kobiety? — odpowiedział ostrożnie Altar.

— Może... Jak dotąd jednak nie natrafiliśmy na ślad żadnej. Ani we Wrocławiu, ani w okolicach.

— Usiłował być sprytny. Ta jego jazda taksówka, „donikąd”, porzucenie walizki w lesie...

— Stare sztuczki. Musi mieć gdzieś jednak swoją, z góry upatrzoną melinę. Przecież nic będzie nocował w lesie, jadał grzybków, spacerował odludnymi Ścieżkami... W każdej bowiem mieścinie pierwszy z brzegu posterunkowy rozpozna jego twarz.

— Jeśli zaś tak jest, musiał z kimś przedtem korespondować, spotykać się.

— Ten człowiek z samochodem zauważony przez sąsiadów?

— Nic przyjeżdżałby przecież już po jego ucieczce. Po co, jeśli miał rzeczywiście jakieś podejrzone kontakty z Grocholskim?

Zapalili w milczeniu. Mijał już tydzień dochodzeń i niewiele wiedzieli, co się stało z Grocholskim. Czy gdzie ukrył się na jakiś czas? A może przygotował sobie odpowiednie dokumenty? Za pieniądze wiele rzeczy można załatwić. Pamiętali przecież przypadek fałszywego lekarza, który ordynował w szpitalu powiatowym przez ponad rok, a polem się okazało, iż ukończy! tylko trzy semestry medycyny. Albo ten inżynier od blisko pięciu lat sprawujący funkcję głównego inżyniera w poważnym przedsiębiorstwie budowlanym na podstawie spreparowanego umiejętnie odpisu dyplomu ukończenia Politechniki Warszawskiej...

XI

Wieczór znów nic dobrego nie wróżył; żona siedziała z zaciętą twarzą przed telewizorem. Sam więc sobie zaparzył herbatę, wyjął z lodówki wędliny i zjadł bez apetytu dwie kanapki. Potem przesunął mały stolik do klubowego fotela i rozłożył na nim nie przeczytane jeszcze gazety. Ich szelest jakby obudził kobietę. Ocknęła się z tępego zapatrzenia się w szklany ekran i rzuciła bezosobowo:

— Dzwoniono do ciebie. Nie zrozumiał.

— Nie słyszysz? Jak zwykle nie słyszysz, co do ciebie mówię. Telefonował Mirski, chce spędzić z nami wieczór.

Odłożył gazetę.

— No i co?

— Mnie pytasz?! To twój znajomy...

— Również i twój. A ponadto jego żona...

— Ładna i miła?!

„Znowu ta obsesja" — pomyślał z niechęcią.

— Podobna do niego: uprzejmego i przystojnego mężczyzny — zripostował. — Ale mówmy poważnie... Pojedziemy?

Wzruszyła ramionami.

— Jeśli tak uważasz... Skrzywił się nieznacznie.

— Wszystko zależy od ciebie — rzekł jednak pojednawczo — I wiesz, że jestem domatorem. Wystarczy mi do szczęścia gazeta i książka...

— Jak zwykle! — znowu znalazła powód do sprzeczkii — świata poza tymi czterema ścianami nie widzisz. Przez tyle lat...

Zaczęła się zwykła tyrada. Zasłonił się więc szczelnie płachtą gazety i postanowił przeczekać burzę. Stało się tak, jak się spodziewał: po pięciu minutach skargi „kobiety osamotnionej i wzgardzonej" nastąpiła przerwa. Odetchnął z ulgą.

Zona zresztą zaraz usiadła przed lustrem. Była osobą nie zrównoważoną i od wybuchu niepohamowanej wściekłości do nastroju niemal sielanki przechodziła z zadziwiającą łatwością...

Wyjechali już o zmroku. Nie lubił tej pory dnia ze względu na kłopoty ze wzrokiem i rzadko zasiadał wówczas za kierownicą. Tym bardziej, że do Mirskich było tylko dziesięć minut drogi... Zona jednak uparła się, że pojedą przed ich dom.

— Nie po (o przez dwa lata odejmowałam sobie od ust, żeby kupić samochód — a potem nie używać go całymi tygodniami. Ty zresztą masz go sam na co dzień — dorzuciła uszczypliwie.

A więc pojechali. Na szczęście ruch był na ulicach niewielki, a miejsca na parkowanie wozów, przed domem Mirskich, dość.

W rześkim oświetlonym mieszkaniu zastali już spore grono bliższych i dalszych znajomych. To trochę zdetonowało przybyłych, sądzili bowiem, że gospodarze urządzą tylko kameralne „party”. A tymczasem... Ich humor jeszcze bardziej popsuka wiadomość, że Mirscy właśnie obchodzą „skromne piętnastoletnie ślubu” i stąd ta alkoholowa okazja,

— A my bez żadnego prezentu — szepnęła mężowi kiedy znaleźli się na chwilę w przedpokoju,

Wyraźnie wówczas osowiał i postanowił, dla świętego spokoju, jak najmniej udzielać się towarzysko. Nie przyszło to łatwo. Z ulgą też powitał „strzemiennego”.

Wyszli na lśniąca od wilgoci ulicę. Przed godziną spadł deszcz i już na progu żona zaczęła mocować się z parasolką. Otworzyła ją wreszcie, tuż przed samochodem. Wsiedli do niego pośpiesznie. Silnik zaburczał urywanie, zgasł — i wreszcie zaskoczył. Spojrzała na niego z ukosa. Miała widać jak zwykle jakąś cierpką uwagę na końcu języka, ale zmilczała na szczęście. Wtulona w siedzenie wpatrzyła się w pobrużdżoną drobnymi pasemkami wilgoci szybę.

— Jedź wreszcie! — rzuciła sucho — i włącz łaskawie wycieraczki...

Bez słowa posłuchał jej. Minęli spokojną pustą uliczkę i wjechali do śródmieścia. Pozbawione świateł sygnalizacyjnych, sprawiało wrażenie mocno ożywionego. Jeździły już pierwsze ranne autobusy, jakaś ciężarówka całą szerokością jezdni brała zakręt. Jej przysadzisty tył zasłonił mu widoczność. Zniecierpliwiał się więc i usiłował ją wyprzedzić. Dodał gazu, zatoczył łuk. I wówczas zobaczył z przeciwnej strony nadjeżdżającą „Skodę”. Sunęła prosto na niego.

Pokręcił gwałtownie kierownicą, nacisnąwszy jednocześnie na pedał hamulca. Wszedł miękko. Za miękko. Z przerażeniem stwierdził, że wóz sunie na chodnik całą siłą bezwładu. Hamulec nie działał!

— Co robisz!?

Żona chwyciła go kurczowo za ramię. Usiłował jeszcze uwolnić rękę z jej ucisku, uchronić wóz przed zderzeniem, na próżno jednak: przód samochodu już zwałił się na szorstką płaszczyznę muru... Zamknął oczy. Usłyszał trzask, jakaś siła wgniotła go w kierownicę. Deszcz okruchów szkła z rozbitej szyby trzepnął boleśnie w twarz. Potem wszystko raptem ucichło.

Nie zauważył nawet, jak znalazł się pa ulicy. Obok stała zapłakana żona. Nic reagował na nic. Jak przez grubą watę dochodziły go czyjeś głosy, zgrzyt zatrzymujących się w pobliżu miejsca wypadku wozów, spazmatyczne chlipanie żony.

W pół godziny później zawieziono go do komendy.

Już był jasny dzień i ze zdumieniem spostrzegł na biurku przesłuchującego go oficera czerwony refleks słonecznego blasku. Po takim deszczu...

Na pytania odpowiadał mechanicznie.

— Co pan robił tej nocy?

— Byłem na przyjęciu.

— Pił pan?

— Nie piłem.

Zresztą dmuchał już w balonik, który nie zmienił swej barwy. Pobrano mu również krew do analizy. Najważniejsze jednak, że wiedział o tym najlepiej sam: na szczęście nie wziął do ust ani kieliszka.

— Więc jak to się stało?

— Co?

Jeszcze był trochę nieprzytomny. Oficer zniecierpliwiał się.

— Pan wie chyba, o czym mówię... — Skinął głową. Wie, doprawdy jednak nic nie może na temat przyczyn wypadku powiedzieć. Chciał wyprzedzić guzdrzącą się na zakręcie ciężarówkę, dobrze obliczył odległość. I tylko ta „Skoda”. Ale i w takiej sytuacji nie mogłoby dojść do żadnej kraksy, gdyby nie hamulce..

— Wysiadły?

— Sami panowie sprawdzą. Odmówiły posłuszeństwa. Inaczej powinien był zatrzymać się tuż przy krawężniku chodnika...

— Ależ to nowy wóz?

— I dlatego zupełnie tego nie rozumiem... — Znowu osowiał. Czego od niego właściwie chcą? Spowodował wypadek, to fakt, ale przecież absolutnie bez winy... Mógł wprawdzie nie wyprzedzać tej cholernej ciężarówki...

Zamyślił się ponuro. Wiele rzeczy robi się nie tak, jak by się chciało. Spieszył się było późno. I do tego ta „Skoda”.

Wyszedł na korytarz. Zobaczył tam żonę. Siedziała skurczona na krześle, z chusteczką przy oczach.

Albo krzyczy, albo płacze... — pomyślał z niechęcią. Irytowały go te jej gwałtowne zmiany nastroju. Zresztą może to i normalne, stało się nieszczęście, kobieta płacze...

Siadając położył opiekuńczo rękę na jej ramieniu. Strząsnęła ją gniewnie. Westchnął. A jednak pozostała sobą. Jego tylko obwiniała o tę kraksę, zawsze, o wszystko co złe, tylko jego...

Na następną rozmowę z oficerem czekał półtorej godziny. Porucznik popatrzył na niego uważnie.

— A więc wszystko się zgadza — powiedział — miał pan rację: wysiadł hamulec...

Kontentował się chwilą swego triumfu. Mówiłem... — wymamrotał — jeżdżę już w końcu parę lat...

— Tym wozem?...

— Nie. Tym od pół roku. Kupiłem go okazji, prawie nowy.

Oficer coś zapisywał w notesie znajdującym się na biurku. Milczał chwilę.

— Jak ma pan zabezpieczony garaż? — zmienił pozornie temat przesłuchania.

Spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Normalnie. Zamknięte drzwi, kłódka na nich. Też zamknięta — dodał z niepotrzebnym naciskiem. Coś mu się jednak nie podobało w tak postawionym pytaniu.

— I wczoraj też niczego pan nie zauważył?

— A co miałem zauważyć? — odpowiedział zaczepnie, pytaniem.

— No, otwartą kłódkę, coś nie na swoim miejscu...

— Nic. Wszystko było w porządku.

—A jednak...

Porucznik przerzucił machinalnie kilka kartek maszynopisu leżących na jego biurku.

— Chce pan powiedzieć?...

Oficer skinął głową.

— ... że ktoś się musiał albo zakraść do pana garażu, albo pomajstrować przy wozie wówczas, kiedy stał on gdzieś zaparkowany...

Przestraszył się.

— Myśli pan, że?...

— Tak. Ta awaria układu hamulcowego nie była przypadkowa. Ktoś tam fachowo musiał to przygotować... Gdyby jechał pan na jakimś zakręcie, przy dużej szybkości — chyba już nie rozmawialibyśmy ze sobą...

Wyciągnął chusteczkę, otarł spocone czoło.

— I to jest pewne?

— W stu procentach. Zbadaliśmy wóz dokładnie. Ma pan jakichś wrogów?

Chciał się roześmiać. Wrogowie? Nie miał, chyba nie miał.

— Na pewno to sprawka jakichś uliczników — powiedział. — Mało się teraz różnych wałęsa? Potrafią wyłamać wycieraczki, odkręcić antenę, zabrać ochraniacze kół...

Porucznik nic zgodził się z jego domysłami.

— Na pewno nie byli to jacyś chłopcy. Powiedziałem już przecież, że takiego uszkodzenia układu hamulcowego mógł dokonać ktoś tylko rozmyślnie i względnie fachowo. O przypadku nic może być mowy...

Coś takiego! Przecież to absolutnie niemożliwe... Dlaczego jakiś ktoś miał nastawać na jego życie? Absurd! Nie ma zbyt wielu przyjaciół, nie ma jednak też i wrogów. Wróg? To przecież osobnik zięjący do kogoś nienawiścią... Nie, na pewno nie zna takiego człowieka. Do sprawy o spowodowanie wypadku przylątała się więc również inna... Znacznie bardziej niepokojąca.

Żona wiedziała już o tym podejrzeniu. Powitała go z zaciśniętymi ustami. Prawie na nią nie spojrział. Miał teraz tyle na głowie!

Przed domem zastał już kilku nieznanymych mężczyzn. Byli przysłani z komendy.

Jeszcze raz przeanalizował wczorajszy wieczór. Przed wyjazdem do Mirskich przebywał przez dwie, trzy godziny w domu. Garaż, w którym znajdował się wóz, był przecież zamknięty wtedy. Czy ktoś mógł się wówczas tam zakraść?

Wywiadowcy nie bawili długo, pożegnał się z nimi, wrócił do mieszkania. Tak jak sądził, nic na pewno szczególnie podejrzanego nie stwierdzili. To i dobrze. Jest pewien, że ten hamulec nawalił przypadkowo. Tak, jest tego niemal pewien...

Zadzwonił telefon.

Wstał z niechęcią. Znowu ktoś z komendy? Podniósł słuchawkę. Nic usłyszał jednak nic. Powiedział „halo!” i zniecierpliwiony powtórzył! to „halo” jeszcze kilka razy. Bezskutecznie. Odłożył więc z trzaskiem słuchawkę i wtedy usłyszał nikły dźwięk — to ktoś, kto nie chciał się odezwać na jego wołanie, również przerwał połączenie.

Zamyślił się, stojąc nad aparatem.

XII

Obudził się późno, już grubo po dziesiątej.

Długą chwilę leżał jednak z zamkniętymi powiekami, przypominając sobie z trudem zdarzenia wczorajszego dnia. Jeszcze bolało go ramię uderzone kierownicą, namacał ręką strup pod okiem.

Pomyślał o wozie — powinien wreszcie go odebrać.

Zwłókł się z łóżka, ochlapał byle jak zimną wodą w łazience i zasiadł do śniadania. Żona jeszcze spała. Zawsze miała ciężki, twardy sen.

Zajrzał jednak do sypialni. Czy jeszcze ją kochał? Nic mógł odpowiedzieć na to pytanie... Ona, inaczej — wciąż deklarowała mu niezmiennie swoje uczucia. I niszczyła swoim sposobem bycia jego system nerwowy...

Przetarł palcami zmęczone oczy. Przypomniawszy sobie — zadzwonić do tego porucznika w komendzie.

Oficera, niestety, nie zastał. Jego zastępca wyraził jednak gotowość poinformowania zwierzchnika o prośbie właściciela „Fiata”.

— Niech się pan jednak pocieszy, jest w niezłym stanie...

Podziękował nic wiadomo za co. Oświadczył, iż bardzo się cieszy.

— To kiedy?

— Nie dalej jak za dwa dni. Musi pan zrozumieć również'na3zc obowiązki. Wypadek nic jest przecież pospolity...

Odrzekł, iż rozumie wszystko doskonale, tylko że wóz potrzebny mu jest do pracy. Ma wyjazdy służbowe, a już jutro czekają go pilne sprawy.

Rozmówca pocieszył go, że być może, uda się odstawić mu wóz jutro...

Podziękował jeszcze raz i odłożył słuchawkę.

W drzwiach stała żona. Miała szarą twarz i niebieskie od tuszu powieki. Skrzywił się.

— Mogłabyś chociaż na coc splukać to malowidło...

Wydęła wargi. — Albo ciebie to obchodzi...

— Dzwoniłem do komendy w sprawie wozu — zmienił temat.

— I co?

— Będzie. Być może już jutro...

— Czemu nie dziś?

Nadęła się jak zwykle. Jakby on również odpowiadał za niewydanie na czas samochodu. Na wszelki wypadek postanowił wyjść ca krótki spacer. To była forma relaksu, zbawiennego dla jego stanu nerwów.

— Wychodzę! — rzucił już u drzwi i dodał szybko 7.1 progiem — szef coś chciał ode mnie...

Na ulicach pozostały jeszcze ślady nocnej ulewy, chociaż słońce wygrzewało chodniki i asfalt jezdni od wielu godzin. Było jednak chłodno, rześko, jesienno. Pogapił się na mijane wystawy, obejrzał nowy model „Forda”, którym zawitał do Wrocławia jakiś amerykański turysta, po czym skręcił do małej narożnej kawiarenki, gdzie zamówił dużą czarną. Zdążył wypić ją do połowy, kiedy ktoś stanął przy jego stoliku. Podniósł wzrok i spostrzegł znajomą twarz.

— O, to ty... — powiedział jednak z pewną rezerwą. Przybysz usiadł na krześle i położył swoje duże dłonie na stoliku.

— Wypiję kawę, a potem porozmawiamy — powiedział bezbarwnie.

Żeleński skinął w odpowiedzi głową.

XIII

Dawno już go nie widział; posrebrzyły mu się lekko skronie, jakby zwiotczał trochę. W sumie trzymał się jednak krzepko. Kawę, którą mu podała kelnerka, pił długo z pewnym namaszczeniem; kilka razy siorbnął głośno.

Żeleński udawał, że tego nie dostrzega. Teraz dopiero sobie uświadomił, jak wiele ich dzieliło. Uświadomił sobie nędzę tamtego życia. Teraz, w godzinie dojrzałości, tym katalizatorem wyzwalającym owe reminiscencje był Zenon.

Właśnie dopił ostatnia kroplę kawy. wygrzebał łyżeczką odrobinę cukru, która została na dnie filiżanki i popatrzył dawnym wzrokiem na Żeleńskiego.

— Spotkaliśmy się więc wreszcie. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Czul się trochę zażenowany. Ciekaw był jednak, co mu tamten jeszcze powie.

— Oglądałeś Albina?

Chciał zyskać na czasie. Pomilczał chwilę i w końcu skinął głową.

— I co ty na to?

— Głupio zrobił...

Zenon niespodziewanie uderzył dłońmi w uda.

— Nic się nic zmieniłeś. Jesteś taki, jak wtedy; zbyt delikatny, i powiem ci otwarcie — pochylił się nad stolikiem konfidencjonalnie — /był uczciwy. Co chcesz od Grocholskiego? Złapał okazję — i czmychnął.

Żeleński nic zareagował. Zenon spojrzał na niego spod oka.

— Żartuję — położył mu poufale rękę na ramieniu — po prostu tak mi się jakoś powiedziało. Muszę ci jednak zdradzić — znowu stał się tajemniczy — że jestem w pewnym sensie związany z tą sprawą.

Zobaczył popłoch w oczach Żeleńskiego.

— Nie to! — zatrzepotał rękami — nic myśl o najgorszym. Po prostu zorientowałem się, gdzie Albin się ukrywa...

Żeleński ciągle patrzył na niego z niedowierzaniem i nawet z pewnym lękiem. ..Jeśli to prawda — pomyślał — do czego jestem mu potrzebny. Czy do roli współnika, czy może kogoś nawracającego na drogę cnoty zbłąkaną owieczkę. Okazało się, że to drugie. Jeszcze raz tego wieczoru przeklął koneksje, na których tak ciążyła przeszłość.

— Zrozum — szeptał Zenon — ty jeden pozostałeś uczciwy. Mówię to pamiętając nawet o twojej, naszej — poprawił się — przeszłości. Teraz jest jednak inaczej. Cenię ciebie. Albin również liczył się z twoim zdaniem...

Obruszył się nagle. Zrozumiał, do czego zmierza już Zenon.

— Zwariowałeś. Jak to sobie wyobrażasz? Coś mu powiedział do ucha. W odpowiedzi kiwnął kilka razy głową. Ciągłe nic by! jednak zdecydowany.

— Oglądałeś telewizję? — Zenon użył wreszcie ostatecznego argumentu. — Jeśli my go z tego nie wyrwiemy, zrobi to ktoś inny. Będzie gorzej. Zapomniałeś o przyjaźni?

Starał się o niej zapomnieć przez tyle lat. a jednak... Wiedział, że jest człowiekiem słabym i za chwilę ulegnie namowom Zenona.

Obejrzał się za kelnerką. Przyszła kołysząc biodrami, z obojętnym wyrazem twarzy.

— Razem panowie płacą? Szesnaście czterdzieści.

Żeleński wyjął portfel. Położył na stoliku dwudziestozłotowy banknot...

— Odchodzisz?

Zenon wzruszył ramionami.

Nic odpowiedziałeś mi jeszcze...

Poczuł narastającą falę gniewu. Dlaczego się od niego wreszcie nie odczepi. Chce ratować kumpla, takiego jak on sam, niech to robi. ale dlaczego on właśnie ma być jakimś kozłem ofiarnym. Ma rodzinę, ustabilizowane jakoś życie... Babranie się W takich sprawach nigdy nie wychodzi na dobre. A ponadto dlaczego ma to robić? Dla jakiejś przyjaźni? Ona ma też swoje granice...

Zenon ciągle przyglądał mu się uważnie. Żeleński schował portfel, strzepnął jakiś pyłek z marynarki.

— Śpieszę się.

— Dokąd? Do żony, do nowych mebli, inżynierskiego stołka.

Spąsowiał.

Zenon nic spuściła niego wzroku.

— Nic mówię tego, żeby ci dokuczyć. Przypominam tylko, że pewnego dnia wszystko to można stracić; dobrze urządzone dom. pieniądze...

Żeleński poczuł skurcz gardła. Co on, u diabła, głądzi! Upił się?

Zenon nie zmieniał jednak kamiennego wyrazu twarzy.

— Przypominam ci to, nie bez kozery. Otóż nade wszystko cenię przyjaźń. Taką kumplowską wież. Bez tego mężczyzna jest szmatą. Albo zostaje szmatą. Albin jest na złej drodze, grozi mu niebezpieczeństwo. Kto mu może w tej chwili pomóc. Powiedz?

— Niech się zgłosi do milicji!

Zenon umiał się śmiać bezgłośnie, jakby coś go dusiło w gardle.

— Widzę, że zdziecinniałeś. Byłoby to wyjście najprostsze. Musimy uratować człowieka i to, co on zdobył.

Żeleński znowu go niezupełnie zrozumiał,

— Trzeba tłumaczyć ci jaśniej? Mam dobrą melinę dla Albina. Tam przeczeka. Ale do tego potrzebny jest wóz. Przemkniemy nocą. I potem już nikt o nas nic usłyszy.

Zamyślił się. Dobrze mu w ten sposób mówić. Oni znikną, a on pozostanie. Z ciągłym strachem w sercu. Bał się odmówić wprost. Tę jego rozterkę Zenon przewidział bezbłędnie.

— Nie masz wyboru. Co o tobie wiedzą w zakładzie? Czy zwierzałeś się ze swojej przeszłości żonie?

Wtedy poczuł strach. W istocie nie miał wyboru. Pojedzie tam, ale potem o wszystkim zapomni. Natychmiast zapomni. Oby na zawsze.

Była to żmudna robota; zebrać wszystkie informacje o człowieku, który podróżował z czarną walizką. Posiadano również o nim wicie innych danych, część opisową zawierały listy gończe, ale rozumowano poprawnie, że przygodnym pasażerem najbardziej rzuci się w oczy czarna walizka. Podobnie jak taksówkarzowi z Wrocławia...

Obsługa konduktorska nie wiedziała jednak o nim nic.

— Tylu przewija się przed naszymi oczami podróżnych. A poza tym przecież tej walizki nie trzymał na kolanach. Na półkach zaś jest wiele różnych rzeczy.

Mimo to znaleziono człowieka, który nawet ze zbiegłym kierownikiem rozmawiał. Był to ksiądz z parafii Mała Wieś leżącej koło Wrocławia. Zgłosił się po kilku dniach od chwili rozesłania listów gończych do prasy i telewizji.

— To był chyba on — oświadczył w komendzie jeszcze raz obejrzawszy fotografię — pomagałem mu nawet umieścić tę walizkę na półce. Pamiętam, że się wówczas zachnął, jakby zdenerwował. Nie poznał z początku we mnie księdza, podróżowałem po cywilnemu. Potem rozmawialiśmy przez jakiś czas, chociaż wyglądał na człowieka małomównego...

— Co mówił?

— Rzeczy bagatelne, już nawet dobrze nic pamiętam. Był jednak strapiony... Usiłowałem go pocieszyć. Powiedział mi jednak szorstko: „Co tam ksiądz wie”... Nie indagowałem go więc dalej.

— Wsiadł jeszcze przed księdzem?

— Tak, o dwie stacje... Gdzie?

— W Gąskach. Pamiętam dobrze, nawet wychyliłem się za nim. Zaraz z peronu skręcił w bok.

— W las?

— Może w las. Chociaż pierwsze jego zarośla znajdują się o dobre sto metrów od stacji...

Wiedziano już jednak, że musiał skręcić w las, bo przecież w jego interesie było unikać ludzi... Tylko dlaczego dojechał akurat do Gąsek? Czyż tumult wrocławskiego dworca nie był lepszym schronieniem

przed oczami ciekawskich niż ta mała stacyjka, na której wysiadł jako jedyny pasażer? I dlaczego wrócił do miasta, żeby wynajętą taksówką udać się o dwadzieścia kilometrów za Wrocław?

Te wojaże jednak wydawały się tylko pozornie pozbawione logiki...

XIV

Zmitrężył kilka godzin w zakładzie blacharki samochodowej. Majster wyglądał na zafrasowanego stanem jego wozu. Obchodził go kilka razy, spoglądał pod pokrywą, kładł się na ziemię i opukiwał karoserię.

— Aż tak źle!? — nie wytrzymał wreszcie. Właściciel warsztatu podrapał się w głowę.

— Skłamię, jeśli powiem, że dobrze. Po prostu wóz jest nielicho poharatany.. Ale zrobi się...

Żeleński zaniepokoił się tym wstępem. .

— Za ile?

— Za normalną cenę. Nie pierwszy raz przecież pan tu jest. Za tydzień będziesz miał pan „Fiata” jak nowego...

— Za tydzień?

— Uważa pan. że to długo...

— A jak pan myśli!?

Majster stanął z francuskim kluczem w ręce.

— No dobra... — powiedział ugodowo — w gorącej wodzie pan kapany. Powiedzmy za trzy dni... Odstawię inną robotę. Ale dojdzie coś?

Żeleński machnął ręką, I tak zawyży mu rachunek. W istocie znał go nie od dziś... Fachowiec był jednak z niego dobry...

Do pracy znowu się spóźnił. Na szczęście wiele mu teraz wybaczano, pamiętając o kraksie i związanych z nią kłopotach, Przerzucił zaległą korespondencję, poprosił o przyniesienie mu wykazu robót na ukończeniu.

Pracował bez wytchnienia do trzeciej. Na szczęście nie było żadnych interesantów ani telefonów.

Kiedy odłożył ostatni gęsto zapisany arkusz papieru, przypomniał sobie nagle tamtą rozmowę w kawiarni. Tego jeszcze brakowało! Ten miesiąc nie był dla niego łaskawy... Wprawdzie to nie było to samo co wypadek czy napięte stosunki z żoną, ale zawsze... Zgodził się już teraz z Zenonem, iż trzeba coś w tej

sprawie zrobić. Tylko jak? Czy Zenon wiedział o tej sprawie wcześniej? Musiał wiedzieć. Przecież pamięta dobrze tamtą rozmowę w sklepie — myślał, że to są wytwory fantazji, nigdy nic traktował tych zwierzeń poważnie... Tymczasem...

Zatrzasnął z hałasem szuflady biurka, włożył nieprzemakalny płaszcz. Deszcz wciąż wisiał w powietrzu. Pogoda była w kratkę.

W sekretariacie uśmiechnęła się do niego dziewczyna. Była to nowa pracownica, znał ją zaledwie kilka dni. Odwzajemnił się uśmiechem i bacznie przyjrzał się sekretarce. Była czarnowłosa, zapięta pod szyję.

Ładna — skonstatował z pewną melancholią. Machinalnie przyglądał siwiejące włosy i energicznym krokiem przemierzył korytarz. Na ulicy zaczęła już gęstnieć mżawka.

XV

Samochód stał już na dziedzińcu — pięknie polakierowany, bez śladu uszkodzeń

— Nie mówiłem!/? — triumfował majster — trzy dni i cacko gotowe. Dobra ręka czyni cuda...

Nie był to bezinteresowny entuzjazm nad „dobrą robotą”, ani czcze samochwalstwo — właściciel warsztatu wyraźnie „przymawiał do ręki”.

Odliczył mu więc skrupulatnie umówioną kwotę i dodał kilka banknotów.

— Starczy?

Odpowiedział zadowoloną miną.

— Szczęśliwej podróży! — zawołał za odjeżdżającym.

Zaparkował wóz tuż przed domem. Żony nie zastał w mieszkaniu, zostawił więc tylko kartkę, że przyjedzie za dwie godziny, około dwudziestej.

Zastanawiał się chwilę, pisząc ostatnie słowo. Chyba zdążę? — pomyślał — to przecież niezbyt daleko... Kiedy zamknął drzwi na klucz, przypomniał sobie w ostatniej chwili o dokumentach wozu. Zostawił je w mieszkaniu, jeszcze przed udaniem się do warsztatu. Wrócił więc na powrót do pokoju, odnalazł je w małej ściennej szafce.

Wtedy zadzwonił telefon... To niecierpliwiał się Zenon. Powiedział mu, że już jedzie i odłożył słuchawkę.

Kiedy zbiegał ze schodów, telefon ponownie zadzwonił. Nie usłyszał go już jednak.

Autokar gwałtownie zahamował.

— Mamy wreszcie las! odkrzyknął kierowca, w odzwie na skandowaną głośno prośbę...

Nawisie gałęzie przydrożnych drzew zakryły szyby wozu. Jego dwoje drzwi otworzyło się z trzaskiem. Ktoś krzyknął raźnie: „Panie na lewo, panowie na prawo!” i kilkadziesiąt osób obojga płci rozbiegło się ze śmiechem po leśnej gęstwinie. Co wstydliwsze niewiasty zawędrowały o dobre sto metrów od drogi. Te „maruderki” najbardziej później zdenerwowały kierownika wycieczki. Spoglądał niecierpliwie na zegarek.

Mężczyźni wydmuchiwali ostatnie dymki z papierosów i dowcipkowali zjadliwie.

— Co jest? — rozsierdził się kierowca. I oto usłyszeli nagle przeraźliwy krzyk marudzących kobiet, które wychynęły z zarośli.

— Co je napadło!?

Najbliżej stojący mężczyźni rzucili się naprzeciw biegnącym. Przystanął z trudem łapiąc oddech.

— Tam! — piszczały ciągle, odwracając lśniąca od potu twarze w głąb lasu.

— Co tam?

— Ktoś tezy...

— Zwariowałyście!

Wraz z kierowcą ruszyli tyralierą w stronę największego gąszczu. Mieli przed sobą kiście paproci, sterczące smutnie suche krzewy malin.

Roślinność była tu zdeptana, mech rozrzucony, leżący płatami, jakby ktoś wrywał go w pośpiechu. A w jednym miejscu grunt osuwał się o kilkanaście centymetrów w głąb i odsłaniał coś niepokojącego. Podeszli jeszcze bliżej. Teraz widzieli już dokładnie: była to czyjaś ręka z dłonią zaciśniętą w kułak, odsłonięta aż po przedramię...

Wstrząśnięci odkryciem patrzyli przez chwilę w milczeniu.

— Po milicję! — wykrztusił któryś. Kierownik bez słowa odwrócił się i pędem pobiegł w stronę autokaru.

Odnaleźli go więc wreszcie; leża! teraz martwy i nagi w prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej. Już pobieżne oględziny wskazywały na to, że zginął uderzony ciężkim narzędziem w głowę. Obrażenia czaszki były rozległe. Zabójca działał więc bezwzględnie — i okrutnie.

Przy Grocholskim znaleziono dokumenty, portfel z drobną kwotą, zegarek. W tylnej kieszeni spodni znajdował się również niewielki karteluszek z wypisaną odręcznie nazwą stacyjki, w pobliżu której odnaleziono zwłoki Grocholskiego. Tam się zatem wybierał, ale dlaczego tam?

Miejscowość była położona o trzydzieści kilometrów przed Wrocławiem. Mała osada Gąski, licząca niespełna dwa tysiące mieszkańców...

Czarną walizkę Grocholskiego, której nie znaleziono przy jego zwłokach, odkryto kilka dni temu w lesie o dobre kilkanaście kilometrów za Wrocławiem. Czyżby więc ten osobnik, podróżujący taksówką w stronę Jeleniej Góry, był zabójcą kierownika sklepu?

Jeżeli zaś tak — czy dokonał swego czynu przypadkiem, zobaczywszy idącego samotnie człowieka leśną ścieżką, czy może planował ic zbrodnię od dawna?

Ieszcze raz postanowiono wrócić do żony Grocholskiego. Może zapamiętała jakiś ważny szczegół z życia męża?

Miała martwą twarz zmęczonej bardzo kobiety. Odpowiadała monosylabami. Ożywiła się dopiero pod koniec indagacji.

— Wierzę, że mąż samorzutnie nigdy nic zdecydowałby się na coś takiego...

— Był człowiekiem bez inicjatywy?

— To może nic to... Potrafił być również energiczny. Ale jednocześnie należał do ludzi niechętnie ruszających się z miejsca. Przynajmniej za takiego go uważałam. I miałam nieraz mu to za złe...

— Nic miał przyjaciół?

— Panowie już o to pytali. Nie zauważyłam... Bo trudno nazwać przyjaźnią kontakty z miejscowymi. Był kierownikiem sklepu w dużej wsi, wielu do niego zaglądało...

— Przyjmował ich również w domu?

— Nie unikaliśmy takich odwiedzin. Ostatnio nasze pożycie mocno się popsuło. Z czyjej winy? Teraz chcę już być sprawiedliwa — może i z mojej. Człowiek, kiedy żyje z drugim, zwyczajnie, na co dzień, nie zawsze dostrzega swoje błędy. Teraz zaś... Kiedy już jest po wszystkim i nic się nie odmieni...

Oparła ręce o blat stołu, załkała.

Kapitan Sieniuc przeczekał tę chwilę słabości.

— Nie widziała więc pani w otoczeniu męża nikogo podejrzanego?

— Podejrzanego? To zbyt mocno powiedziane... Mąż nie wdawałby się przecież w jakieś konszachty... — Zabrzmiało to trochę zbyt pompatycznie w obliczu przestępstwa, którego dokonał. Kapitan zmilczał jednak dyskretnie te słowa.

— Jednak ten człowiek z wozem... — przypomniał.

Zachnęła się.

— Nie widziałam go nigdy. Niech pan spojrzy — wskazała ręką przez okno — gdzie jest nasz dom, a gdzie znajduje się sklep. Są odległe od siebie o kilometr. Może więc ktoś do męża przyjeżdżał. Mógł to być zmotoryzowany turysta... — Nasza wieś leży przecież na przedpolu Borów Tucholskich.

Kiwnął w odpowiedzi głową.

— Czemu jednak mąż wykupił bilet do Gąsek? Czyżby miał tam kogoś? — rzucił to pytanie bez przekonania.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Po prostu nie wiem. Jeśli już powążył się na takie nadużycia... — Zamyśliła się głęboko. — Czemu on to zrobił? — podjęła niespodziewanie wątek — zawsze był przecież akuratywny, uczciwy...

Kapitan zamknął notes. I on chciałby to wiedzieć.

XVII

„Fiat” nie był jednak jeszcze w pełni sprawny; zakrztusił się już na piętnastym kilometrze. Spróbował jeszcze raz — bez skutku.

Srali pośrodku szosy, tuż przy pierwszych zabudowaniach wsi.

Wysunął głowę z okienka na widok jadącego wolno rowerzysty. Był to stary rolnik powracający z grabiami na ramieniu z pola.

— Blacharz? Nie ma blacharza. Jest kowal... Ale o pięćset metrów stąd. Gospoda? Gospoda bliżej..! Będzie ze trzysta. A co panowie?...

Zanim kierowca coś zdążył powiedzieć, wtrącił się milczący dotąd pasażer.

— Nic, głupstwo — zbył go krótko.

— Zajrzymy najpierw do gospody? — otworzył drzwiczki kierowca.

Skinął głową.

— A samochód?

— Może poradzi coś ten kowal. Oni teraz umieją nie tylko konia podkuć...

Wyszli na wilgotną szosę. Dał zimny wiatr i wewnątrz zacisznej gospody wydało im się bardzo ponętne.

Po dziesięciu minutach marszu znaleźli jednak zadymioną hałaśliwą salę, pełną miejscowych amatorów „dużego jasnego” i „setki czystej”.

— Panom? — pochylił się nad nimi kelner, gdy zasiedli przy zalanym piwem stoliku,

— Dwie kawy.

Wydawał się przez chwilę nie rozumieć żądania.

— Kawy?

Odesłali go niecierpliwie do bufetu.

— Pech — powiedział wreszcie po długiej chwili milczenia pasażer — nie powinno się to było stać...

Kierowca wzruszył ramionami.

— Byłem prawie tego pewny. Świeży lakierek po wierzchu, a pod spodem truchło... Oni umieją tylko brać pieniądze.

— Ten kowal... — przypomniał mu towarzysz. — Trzeba do niego pójść. — Dźwignął się od stolika — zdążę, zanim zaparzę tę kawę...

Wrócił po dwudziestu minutach. Był bardziej ożywiony.

— Jakiś zaradny człowiek. Powiedział, że jeśli sam nic da rady, to pošle po zięcia... A zięć mechanik samochodowy. Jeszcze z wojska.

— Za dużo tych majstrów — mruknął pasażer — wiesz, po co jedziemy...

Skinął z rezygnacją głową. Dopijali kawę, kiedy pojawił się kowal. Był usmolony i wesoły.

— Udało się! — przysiadł się do stolika — drobny defekt, ale pracochłonny... Teraz wszystko gra!...

Nie dopytywali, ile za robotę. Kierowca sięgnął po banknot. Majster nakrył go ręką.

— Dobrej drogi! — pożegnał ich wsuwając rękę do kieszeni — teraz panowie dojadą wszędzie...

Mruknęli, że bardzo im miło. Kierowca pochylił się nad kierownicą, pasażer zapadł się w siedzenie, wydawało się, że z miejsca usnął.

Nie spał jednak, wszak spełniał rolę pilota. Kiedy ujechali w las, wskazał ręką na przesiekę. — Tu? — zdziwił się kierowca.

Burknął coś. Wóz podskoczył na nierówności terenu.

Kilkaset metrów dalej pasażer poprosił, żeby stanął.

— Wypijmy dla kurażu — sięgnął ręką do teczki.

— Przecież prowadzę!?

— Już niedaleko! — machnął lekceważąco ręką — a zresztą tu już zostaniemy... Do jutra. Przecież nie będziesz turlał się do domu po nocy.

Popatrzył na niego uważnie. Chciał zaprotestować, pomyślał o żonie. Potrzebne mu to było! Przyjaźń przyjaźnią, a niech każdy pilnuje swego nosa...

Zamyślił się ponuro, zanim sięgnął po metalowy kieliszek odkręcony z „piersiówki”. Był jednak ziąb, napił się więc. Zapieкло w gardle — dawno już nie miał w ustach alkoholu.

— Powiedz — odetchnął głęboko, jak po otrzymanym ciosie — co go do tego skłoniło?

Pochylił głowę. Milczał.

— Sam nie wiem... — odpowiedział wreszcie niezdecydowanie — zapytasz go wkrótce. Potrzebuje nas...

Odwrócił twarz i zapatrzył się na czerwonawe pnie sosen i daleką perspektywę rzeki.

XVIII

Porucznik odebrał telefon już z samego rana. Dzwoniła Barbara Żeleńska.

— Kto? — nie dosłyszał...

— Żeleńska.

— Słucham?

— Ja w sprawie męża...

— Nie rozumiem. Czy chce pani coś dodać do tej sprawy?

— Nie.

— Proszę więc mówić jaśniej...

— Męża od wczoraj nie ma w domu.

— Wyjechał gdzieś?

— Nic wtem.

— Skąd pani dzwoni?

— Z domu.

— I nie zostawił żadnej kartki z wyjaśnieniem?

— Zostawił. I tylko kilka słów na niej. Że przyjedzie za dwie godziny.

— To znaczy?

— To znaczy, że miał być najpóźniej wczoraj do dwudziestej wieczorem...

— I nie przyjechał?

— Nie, Ale pan jednak rozumie, po tej sprawie...

Zawiesiła znacząco głos, chociaż nie wyglądało, że zbyt mocno jest przejęta przedłużającą się nieobecnością męża.

— Wyjechał sam?

— Sądzę, że tak. Nic mi w każdym bądź razie o kimś obcym nie wspominał, Dzwoniłam już do dyrekcji — nikt go nigdzie nie wysłał...

Porucznik zastanowił się.

— Niech pani zaczeka w domu. To nie jest sprawa na telefoniczną rozmowę. Będę u pani za kwadrans.

Przyszedł przed upływem dziesięciu minut. Tak jak się domyślał, pani domu nie wyglądała na osobę zbyt zbolaną.

Przyjęła go w gustownie urządzonej sypialni, wyświeżona, przy nakrytym do kawy stoliku.

Było mu trochę niezręcznie, ale nie wyłgał się od poczęstunku.

— I co pan na to? — zagaiła rozmowę, którą potraktowała jako towarzyską. Podsunęła papierosy, przyjęła ogień.

— Cóż, może to być zwykłe nieporozumienie: mąż miał interesy, które go zatrzymały...

— Nie wierzę! — zaproponowała energicznie — był zawsze bardzo punktualny. Jeśli napisał, że będzie za dwie godziny...

Porucznik uśmiechnął się lekko. Czyżby aż tak go wytresowała? Znał jednak mężczyzn potulnych na co dzień — i rozrabiających z dala od domu... Zwyczajne życie... Nie powiedział jednak na ten temat nic.

— Myślę — napomknął ostrożnie — że jeszcze za wcześnie na jakieś alarmy. Poczekajmy dzień, dwa...
?

Spojrzała na niego ostro.

— A ten hamulec?

Potańczał z roztargnieniem czoło.

— Może mieć wiele wspólnego z wyjazdem pani męża albo nic. W każdym bądź razie poczekajmy.

Wstała, żeby zebrać nakrycie ze stołu. Miała zacięty wyraz twarzy. Widać nie zadowolona jej rozmowa z porucznikiem. A i on nie był z siebie zadowolony...

XIX

Szef wydziału kryminalnego zapragnął po południu wysłuchać „stron”. Porucznik Goździk referował historię tajemniczego zaginięcia inżyniera Żeleńskiego.

— Zaczęło się od tego wypadku...

— I układu hamulcowego uszkodzonego przez kogoś... Tak przynajmniej ustaliliście.

— Zgadza się, nasza ekipa nie natrafiła jednak na żaden ślad. Zresztą i Żeleński nie robił nic, żeby nam pomóc. Odzęgnywał się od jakichkolwiek podejrzeń...

— Minio to jednak...

— Mógł się gdzieś zawieruszyć — podał ostrożnie porucznik — ostatnio sprzeczał się ostro z żoną, demonstrował to nawet na przesłuchaniu w komendzie. Ponadto, mógł zniknąć ze względu na ten wypadek... Może obawiał się dalszego śledztwa, związanych z tym kłopotów... W końcu trochę zawinił tą kraksą.

— Stwierdziliście jednak uszkodzenie — nie ustępował major.

— Tak. I dlatego poddaliśmy dom inżyniera dyskretnej inwigilacji. Licho nie śpi...

— Co robił dwa dni temu?

Wyszedł na samotny spacer, potem odwiedził kawiarnię na rogu Bonifraterskiej, wypił kawę....

— Bójcie się Boga! To nie ma być diariusz zajęć kawiarnianych tego człowieka.

— Dochodzę do sedna. W pewnym momencie przysiadł się do niego jakiś człowiek — mężczyzna lat około czterdziestu — czterdziestu pięciu. Rozmawiali jak starzy znajomi... Po półgodzinie rozstali się serdecznie.

— Następnego dnia?

— Inżynier był w pracy. Wrócił jak zwykle po południu, chwilę zabawił w domu — i znowu wyjechał. Od tej chwili nic już o nim nie wiemy.

— Wyjechał sam?

— Tak.

— Mógł wziąć kogoś po drodze...

— Mógł — zgodził się porucznik.

— Jak zachowywała się żona?

— Obserwowaliśmy również i ją — normalnie.

— Nikt ani przedtem, ani potem nie kręcił się koło domu?

— Nikt.

Ten człowiek jednak zaginął... Porucznik rozłożył bezradnie ręce.

— Robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Major jednak wie, że stan służby nie pozwala zatrudnić przy inwigilacji jednego człowieka plutonu wywiadowców. Ponadto zaś, podkreślam, to były tylko podejrzenia nie zawężające się wokół jakiejś konkretnej osoby czy osób...

— Co na to Żeleńska?

— Rozmawiałem z nią. I to dość długo. Przy pozorach zaniepokojenia nieobecnością męża nic wydaje się aż tak mocno przestraszona. To osoba egocentryczna, wszystko i wszystkich usiłująca owinąć wokół własnego palca. No cóż, mówiła wiele rzeczy, nic jednak konkretnego.

— Wspomniała o kontaktach męża?

— Nie miał prawie żadnych, ale zauważyła ostatnio, że ktoś do męża kilkakrotnie dzwonił. Sądzi jednak, że chodziło tu o kogoś z przedsiębiorstwa. Poza tym odwiedzali wspólnie, ale dość rzadko, niejakich Mirskich i małżeństwo, które nazwała familiarnie „Mieciami”. Major zamyslił się.

— Jeśli ta nieobecność przedłuży się, trzeba będzie przedsięwziąć akcję specjalną. Przecież człowiek z samochodem nie szpilka, musiał któreśdy wyjeżdżać z miasta... Chyba że wsiąkł gdzieś tu, we Wrocławiu... — spojrzał na porucznika.

Potrząsnął głową.

— Nie sądzę. Chociaż i tę ewentualność trzeba wziąć pod uwagę.

— No to do roboty...

Zaledwie pożegnał porucznika, do drzwi zapukał kapitan Sieniuc.

— Coś nowego?

Zrezygnowany wyraz twarzy oficera mówił jednak o czymś wręcz przeciwnym.

— Kręcimy się w kółku. Jest już po sekcji. Wykazała ona śmierć Grocholskiego wskutek uderzenia ciężkim narzędziem w tył głowy. A więc potwierdziły się tylko wstępne oględziny. Jeszcze ta kartka... Pisana była jego ręką. A więc wynika z tego, że Grocholski bał się, iż zapomni nazwy miejscowości. Co nasuwa też przypuszczenia, że nigdy w tej osadzie chyba nie był...

— Według was więc — ktoś go tam zwabi!?

— A przynajmniej poinformował o jakiejś melinie...

Major potarł dłonią policzek i podsunął Sieniuciowi paczkę z papierosami, sam też osłonił się kłębem dymu.

— Słyszeliście o tej nowej aferze? — zmienił temat.

— Rzeczywiście dziwna sprawa. Ten wypadek, a potem tajemnicze zniknięcie jego sprawcy...

— Tak, za dużo dziwnych spraw naraz, Nic uważacie?

— O dwie za dużo — Sieniuc usiłował zażartować.

Majorowi nie było jednak do śmiechu. Sieniuc zaciągnął się głęboko „Sportem”.

— Mam pewne w związku z tym podejrzenia... — podjął temat.

— Jakie?

— Bardzo mgliste. Chodzi mi po prostu o to, iż te dwie sprawy może coś łączyć.

Major spojrział na niego z zainteresowaniem.

— To może być ciekawe...

— Improwizuję tylko — zaczął się bronić odczuwając ironię w głosie majora,

— Przestańcie! Traktuję tę hipotezę całkiem poważnie. Powiem też coś od siebie: morderca Grocholskiego krąży po Wrocławiu lub jego okolicach. Spójrzcie na mapę — zbrodni dokonuje w pobliżu jednych peryferii miasta, po czym ucieka na drugie... Taksówką! Czemu taksówką? Bo chce być jak najdalej od miejsca przestępstwa, a podróży pociągiem z walizką nie chce ryzykować... Poza tym mógł to być również chytry zamysł zabójcy; widząc, że musimy poszukiwać człowieka z czarną walizką, postanowił odwieść nas daleko od miejsca zbrodni. Przecież nic spodziewał się chyba, że tak szybko trafimy na zwłoki Grocholskiego.

Kontynuując to przypuszczenie, można się spodziewać, że pali mu się grunt pod nogami. Tu, we Wrocławiu. Musi mieć auto, którym mógłby odskoczyć daleko od miasta. Do jakiejś, z góry upatrzonej kryjówki. Nawija mu się w tym momencie Żeleński...

Sieniuc słuchał tych wynurzeń ze skrzywioną miną.

— Tylko jak? — wtrącił w tym momencie.

— Co, jak?

— Jak się mu Żeleński nawinał?

— A to już inna sprawa... Mógł to być zarówno zwykły przypadek jak i rozmyślna gra; znał akurat tego człowieka.

Spojrzał pytająco na kapitana.

— Co o tym sądzicie?

— Zgrabna hipoteza. Tak może w istocie być... Może być również inaczej. Jak w życiu.

— Macie coś innego w zanadrzu? Rozłożył ręce.

— Prawie nic... Tylko gnębi mnie inny fakt: dlaczego ktoś przedtem dybał już na życie Żeleńskiego i całość jego samochodu?

— .Oto pytanie! — sarknął major.

XX

W trzy dni później rozpoczęto akcję specjalną. Na pierwszy ślad beżowego „Fiata” trafiono w— miejscowości Młynki, w tamtejszej gospodzie. Okazało się, że personel doskonale pamiętał tych dwóch z samochodem.

— Było ich dwóch?

— Tak. Kierowca i pasażer — odpowiedział kelner — Mieli gdzieś w pobliżu awarie wozu. Naprawiał go nasz kowal.

— Długo tu zabawili?

— Może pół godziny. Niewiele do siebie się odzywali. Pili kawę. Obaj byli chyba w jednakowym wieku — trochę po czterdziestce. Z tym że kierowca wydał się nam bardziej elegancki od swego pasażera. To był chyba jego wóz...

— Dokąd pojechali?

— W stronę Ruczaju Wielkiego. Ale to tylko pięć kilometrów stąd. Potem są już tylko lasy, Odra. A tam co dwa, trzy kilometry drożyny, przesieki. Mogli tam skręcić.

Rozważyli sytuację. Przez kilka kolejnych dni lał deszcz. Ślady, jeśli jakiegokolwiek były, musiały zniknąć w strugach ulewy. Ale w gęstym lesie deszcz nie jest tak ostry...

Dopiero jednak pod wieczór trafili na nikle ślady opon samochodu odcisnięte w gliniastym podłożu leśnej drogi. Szły daleko w głąb gęstniejących krzewów i drzew.

— Dokąd jednak dojechał?

Ślady urywały się na stromym zboczu. Dalej były tylko nastroszone krzewy berberysu, kilka ściętych, zmurszałych pni — i leniwie płynąca Odra... Zatrzymali się nad samym jej urwistym brzegiem, spojrzeli w głąb — na powierzchni rzeki, ciemnej i mętnej, tworzyły się wiry.

XXI

Ramię dźwigu rozbiło lśniącą, gładką powierzchnię rzeki; zanurzyło się w mętnej toni. Obok pojawił się obły gumowy kask pletwonurka. Sieniuć w milczeniu patrzył na kotłującą się o kilkanaście metrów od niego wodę. Już znał meldunki grupy ludzi— żab: na dnie Odry, w głębokiej na sześć metrów rzecznej jamie, spoczywał wóz. Polski „Fiat” z wrocławską rejestracją. Nić był też, niestety, pusty... W jego "wnętrzu, przy kierownicy znajdowały się zwłoki człowieka...

Woda wzburzyła się. spłynęła po gładkiej, beżowego koloru powierzchni samochodowego dachu, odsłoniła zielone od wodorostów szyby. Miał ten wóz już przed sobą. Uniesiony na wysokość metra potężnym ramieniem dźwigu, ociekał wodą.

Mężczyzna przy kierownicy był już martwy od wielu dni. Lekarz z ekipy zajrzał na chwilę, odsłonił jego pierś, pomacał brzuch.

— Nie utonął — wyjaśnił półgłosem. Mówiąc prawdę przeczuwali to od tygodnia.— Czekala ich jeszcze przykra formalność, chociaż

Żeleński wszystkie papiery miał nie naruszone przy sobie: identyfikacji zwłok. Pani Barbara przeszła jednak przez tę ciężką próbę zadziwiająco spokojnie. Przystanęła, popatrzyła i w grobowej ciszy prosektorium skinęła głową.

Sieniuć dogonił ją na szerokich kamiennych schodach. Szli jakiś czas obok siebie w milczeniu.

— Kogo pani podejrzewa?

Nie odpowiedziała nic. Ta kobieta sprawiała wrażenie otepiałej. Tym bardziej nie chciał zostawić jej samej.

Już na ulicy zaczęła mówić. Wyrzucała beładnie słowa o swoim żalu, rozpacz.

— Nie odpowiedziała pani na moje pytanie — wtrącił delikatnie.

Zapamiętała, je. — Kogo podejrzewam? Niech mi pan wierzy, nie wiem. Żyliśmy przecież tak spokojnie...

— A jednak...

Spojrzała uważnie, Jej twarz nagle zmieniła się, jakby teraz dopiero odczuła stratę tego człowieka.

— Zapamiętałam te telefony... Dlaczego ktoś do niego tak natarczywie dzwonił? Kiedyś zapytałam wprost: „Kto mówi” i usłyszałam tylko trzask odkładanej słuchawki... To dziwne. Nie sądzi pan?

Potaknął machinalnie. Oczywiście, dość dziwne. Wiele jednak osób nie lubi zwrotu „kto mówi” w chwili, kiedy telefonuje z sekretną sprawą.

Żeleńska ubiegła jego pytanie.

— Nie, nie znam numeru telefonu tego człowieka, chociaż...

Spojrzał baczenie na kobietę, która przystanęła i zaczęła grzebać nerwowo w torebce.

— Nie ma pan papierosa? — zaczęła bez związku.

— Tu? Może wstąpimy do jakiejś kawiarni? Machnęła ręką.

— Jesteśmy już blisko mojego domu, zechce pan być moim gościem?

Przystął z ochotą, trzymając ciągle paczkę papierosów w ręce.

Pani Barbara już w mieszkaniu wróciła do przerwanej wątku rozmowy.

— Kiedyś widziałam, że mąż korzystał z jakiegoś notesu. Chował go w szufladzie biurka. Niestety, później go tam nie znalazłam... Zarumieniła się nagle.

— Przyznaję się, że chciałam koniecznie wiedzieć, kto do niego telefonuje. Szukałam więc tych zapisków.

— Może mąż nosił je przy sobie?

— Raczej nie. Pamiętam, że kiedyś wspomniałam mu o telefonie. Wówczas podszedł do biurka, odnalazł notes z numerem telefonu, zadzwonił. Był zdenerwowany, że nie usłyszał swego rozmówcy...

— Zależało mu więc na nim?

— Musiało zależeć.

Powiedziała to takim tonem, jakby jeszcze, mimo śmierci męża, pamiętała zazdrośnie o tej przyjaźni.

Nie mogli więc nadal znaleźć punktu zaczepienia, chociaż związek tych dwóch przestępstw zaczął się niespodziewanie krystalizować; ściągnięto bowiem do zeznań Marcinkowskiego, owego pijaczka, który w dwa dni po zniknięciu Grocholskiego przyszedł na posterunek w Kozłowie, żeby wyznać „z dobrej woli”, iż widział zaparkowany przed sklepem GS w Marciszowie „piękny wóz”... Kiedy pokazano mu samochód Żeleńskiego, rozpoznał go bez mrugnięcia oka jako ten, który parkował dwa tygodnie temu przed sklepem w Marciszowie. Powiedział również, że „ten nieboszczyk” jest także mu „znany z twarzy”...

Czyżby więc owe dwie tajemnicze sprawy spinała jakaś klamra? Można było bowiem założyć, że Żeleński znalazł Albina Grocholskiego. Co jednak z tego wynikało? Wszak kierownik — defraudant już nie tył...

Nasuwała się tedy dość karkołomna hipoteza; Żeleński wiedząc o wielkich pieniądzach zagarniętych ze sklepu przez Grocholskiego, targnął się na jego życie. Dlaczego jednak później uciekał taksówką? Wszak miał własny wóz... I, przede wszystkim, dlaczego ktoś później pozbawił go życia przez dosypanie środków nasennych do alkoholu i następnie skierowanie samochodu z wysokiego brzegu Odry do wody?

Wyjaśnienie pewnych spraw nic wpłynęło więc na zmniejszenie liczby zagadek. Wręcz przeciwnie...

Sieniuc jednak lubił zagadki; był jak szaradzysta, który spędzi bezsennie noc, przewertuje dziesiątki ksiąg, żeby tylko osiągnąć efekt ostateczny tych starań: rozwiązanie zadania.

Miał przed sobą fakty bijące w oczy — dwu morderstwa dokonane przez kogoś trzeciego. A może zbrodniarzy było więcej? Uśmiechnął się ponuro na samą myśl o tym; śnił mu się jakiś — syndykat zbrodni. Uświadomił sobie nagle, że nie przespał od tygodnia w pełni chociażby jednej nocy. Nie mówiąc już o tym, że zaniedbał trochę syna, czternastolatka, puszczanego niemal samo — pas...

Sięgnął ręką do słuchawki, wykręcił numer. Oczywiście nikt się nic odezwał. Maciek znowu szwenda się po ulicy.

Wrócił do meldunków z ostatnich kilku dni. Miał leż przed sobą wyciągi z życiorysów Grocholskiego i Żeleńskiego. Tamten był sklepikarzem, ten inżynierem, a jednak coś ich łączyło. Co?

Pochylił się uważnie nad cienkim arkusikiem papieru. Drgnął. Znalazł coś. Jeszcze raz uważnie przeczytał pismo. „Grocholski i Żeleński przebywali w latach 1947— 1950 w jednej cccii we Wronkach. Kontaktowali się też z innymi więźniami”.

Jakimi? Czy nie tu leżało rozwiązanie całej zagadki?

Sieniuc nalał pełną szklankę wody sodowej, wychylił ją jednym haustem.

A więc to już jest konkretny ślad, że Grocholski i Żeleński dobrze się ze sobą znali. Tylko dlaczego obaj zginęli? I kto ich zabił?

Poczuł zamęt w głowic. Ta sprawa miała kilka odgałęzień. Co się /a nią kryje? Czy tylko jakieś bli/ej nic znane porachunki świata przestępczego? Wicie na to wskazywało. Grocholski i Żeleński, Wronki. Z kim jeszcze zetknęli się ci dwaj?

Uśmiechnął się gorzko. Ł niejednym. To było pewne. Tylko w jaki Sposób połączyć osobę kogoś, jeszcze nic znanego, z tymi dwoma? I czy to jest właściwa droga?

Odłożył akta sprawy. Wiedział jedno; ma jeszcze przed sobą wiele roboty.

Rano w pokoju Sieniucia zadzwonił telefon. Kapitan podniósł słuchawkę i poznał natychmiast głos Żeleńskiej.

Była podekscytowana.

—Nie wiem, czy to jest wytwór moich rozkołatanych nerwów, czy rzeczywistość, ale wydaje mi się, że ;ktoś wieczorem zaglądał do mojego okna.

— Mieszka pani przecież na pierwszym piętrze.,

— Widziałam jednak przez moment czyjąś twarz. Drzwi frontowe były zamknięte, może ten człowiek chciał się dostać przez okno. Wspiąć się na nie jest dość łatwo; od ziemi dzieli je kilka metrów, a wystające gzymsy nie stanowią przeszkody nawet dla dziecka...

— Niech się pani uspokoi.

Prawdę jednak mówiąc sam nie był zbyt spokojny.

Czy to zahuczał gdzieś wiatr, czy przewaliło się auto po jezdni?

Żeleńska źle ostatnio sypiała. Nadśluchiwała chwilę. Odgłos już się jednak nie powtórzył. Zapaliła mimo to nocną lampkę. W jej mdłym zimnym blasku zobaczyła zasłony rozwarte podmuchem wiatru, tłące się na podłodze refleksy światła dalekich latarni.

Włożyła szlafrok, wsunęła nogi w miękkie pantofle. Zaraz poczuła się lepiej, bezpieczniej. Postanowiła zaparzyć sobie mocnej herbaty.

Zapaliła gaz, który zasyczał łagodnie. I wtedy przypomniała się jej twarz męża. Poczula skurcz w gardle. Była sama, rozpaczliwie sama w tym wielkim pustym mieszkaniu. I zabrakło jej nawet tych zwykłych sprzeczek, domowych gwarów, z których w końcu było utkane ich nie najlepsze małżeństwo. Ale to było dawniej. Teraz była zagubioną w nagłym osamotnieniu kobietą.

Czajniczek prychnął parą, zagwizdał. Ten odgłos przywrócił ją do rzeczywistości. Ostrożnie zdjęła zacyzkę, podsunęła szklankę.

Po kuchni rozszedł się łagodny aromat herbaty. Rozejrzała się za łyżeczką i wzięwszy ostrożnie ręką szklankę, przeszła przez ciemny przedpokój.

Zobaczyła ten cień wciśnięty między szafę i okno w momencie, kiedy pchnęła drzwi.

Krzyknęła przeraźliwie. Szklanka z gorącą herbatą z trzaskiem uderzyła o podłogę. Cień zaplątał się w firankę. Zobaczyła kłęb przezroczystego tiulu spływający na podłogę, trzask skrzydła okna.

Ciągle krzyczała.

Ktoś zabębnił w drzwi. Odsunęła się od nich instynktownie.

— Proszę otworzyć, milicja!

Wtedy odsunęła zatrzask. Wyrósł przed nią młody puciołowaty człowiek o energicznych ruchach.

— Co się stało?

Pokazała bez słowa na zmiętą firankę, czarne szkła okien.

— Był tutaj i uciekł — spojrzała z lękiem na wywiadowcę.

—Kto?

Nie umiała tego powiedzieć: jakiś mężczyzna. Może ten, o którym wspominała jeszcze wczoraj kapitanowi w komendzie. Szwendał się koło domu. Czego jednak mógł szukać?

Nie miała pojęcia. Jest od kilku dni wdową...

Opuściły ją nagle siły; osunęła się na krzesło, załkała spazmatycznie.

Koło okna znaleziono ślady; odcisk buta o numeracji wskazującej, że był to mężczyzna powyżej średniego wzrostu, strzęp materiału na klamce okna. Oddano go natychmiast do analizy. Były to wełniane nici pochodzące z garnituru zielonkawej barwy. Taką odzież produkowano w zakładach im. Adama Próchnika w Łodzi.

— To niewiele — wzruszył ramionami Sieniuc — przyda się dopiero wówczas, kiedy złapiemy dra-
nia. Będzie dowodem jego myszkowania w mieszkaniu. Teraz jednak — szukaj wiatru w polu; takich garni-
turów znajduje się w użyciu tysiące.

Po południu zadzwoniła Żeleńska. Była już spokojna, nawet swobodna.

— Mam coś dla pana.

— Co?

— Ten notes...

— Nie żartuje pani?

— Nic, skądże. Przewróciłam wczoraj całe mieszkanie. Leżał w bielizniarce. Wyobraża pan to sobie?
Wsunięty w stertę koszul męża...

— Wygląda więc na to, że chciał ten notes uchronić przed pani wzrokiem.

— Mówiłam przecież...

— Zaraz u pani będę.

Żeleńska przyjęła go już u progu. Miała na sobie wieczorową suknię, woń drogich perfum wypełniała
pokój.

Kokietka! —pomyślał z pewną niechęcią, pamiętając o jej nieszczęściu. Jej?

Notes leżał na stoliku. Liczył w sumie pięćdziesiąt kartek, zapisanych tylko w części. Wśród jakichś
rachunków pracowicie podliczonych, uwag o służbowych zadaniach, było również pięć numerów telefonów.
Wszystkie opatrzone imionami, bądź nazwiskami adresatów...

— Ten do Mieciów, tamten do Mirskich — wyliczała wspięta na palce Żeleńska — jest również nu-
mer dyrektora przedsiębiorstwa i pralni mechanicznej przy ul. Zadrożnej. Tylko ten...

Popatrzył uważnie. Był on sygnowany dużą literą Z.

— Kto to jest? — odwrócił się do Żeleńskiej, chociaż wiedział, że i ona sama pałała chęcią dowiedze-
nia się czegoś o owym tajemniczym rozmówcy jej męża...

Pokręciła głową.

— Mówiłam już panu — nie bardzo wiem. Schował starannie notes do kieszeni. Od drzwi odwrócił się
jeszcze.

— Niech się go pani nie lęka, jeśli jeszcze raz tu się pojawi, zaopiekują się nim nasi ludzie. Tym ra-
zem skutecznie.

Uśmiechnęła się blado. Poczul dla niej w tym momencie litość. Wydawała się taka krucha i bezbronna.

Pod tym numerem mieszkał niejaki Zenon Grabowski. Ulica Zielna 5. Maty, kilkurodzinny domek...

Lokatora jednak w mieszkaniu nie zastali.

— Znowu! — mruknęła sąsiadka na widok wywiadowców.

— Co znowu?

— Niespodziewani goście u pana Zenona. Kilka dni temu ktoś się też o niego dopytywał. On jednak rzadko tu przebywa... Przychodzi, kiedy wszyscy śpią i odchodzi wczesnym rankiem.

— Pracuje cały dzień?

— Chyba pracował. Zresztą kim panowie są?... Ja nie jestem od informacji o lokatorach.

Obrzuciła ich jeszcze nieprzyjaznym wzrokiem i zamknęła za sobą drzwi. Wiedzieli jednak, że nadal są obserwowani przez małego Judasza.

Grabowskiego nie doczekano się również przez kolejne dwa dni. Nic dziwnego zresztą — w administracji poinformowano milicjantów, iż wyprowadził się on z Zielnej.

— Kiedy?

— Będzie tydzień temu.

— Dokąd?

— W Opolskie...

— Konkretnie.

Stary administrator wyszukał książkę meldunkową.

— Do wsi Łobanowo. To w powiecie opolskim...

Nazajutrz kapitan Sicniuc miał już przed sobą tego człowieka.

— Nazywa się pan Zenon Grabowski?

— Tak.

— Syn Józefa?

— Tak.

— Mieszkał pan ostatnio przy ulicy Zielnej we Wrocławiu?

— Tak.

Potwierdzał monotonna personalia. Zająknął się tylko trochę, gdy go kapitan zapytał o ostatnie miejsce pracy.

— Spółdzielnia „Gwiazda”.

— Dlaczego pan rzucił to zajęcie? Przecież dosyć popłatne — zajął do swoich notatek — zarabiał pan ponad trzy tysiące złotych.

— Ze względu na zdrowie... — wskazał ręką na serce.

— Teraz mieszka pan w Łobanowie?

— Tak.

— Sam?

— Panowie przecież wiedzą...

— Proszę odpowiadać na pytania.

— Nie sam, z panią Emilią Garstek. Nie można? — rzucił impertynencko.

— Można. Prosimy jednak o wyczerpujące odpowiedzi. Czy znał pan Ludwika Żeleńskiego?

Był przygotowany na to pytanie, a jednak speszył się jakby.

— Kogo? — chciał wyraźnie zyskać na czasie.

— Ludwika Żeleńskiego, z zawodu inżyniera budowlanego, ostatnio zamieszkałego we Wrocławiu, na Krzykach.

Skinął głową.

— Była to zażyła znajomość? Uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Chyba tak... Lubiliśmy się.

— Kiedy widział go pan po raz ostatni?

— Dwa — trzy tygodnie temu... Jeszcze przed moją przeprowadzką..

„Kłamstwo! pomyślał Sieniuć — dlaczego kłamie? Przecież wywiadowca, który obserwował inżyniera, widział ich razem w kawiarni. Na dwa dni przed tragiczną śmiercią Żeleńskiego...”

— Gdzie pan się z nim spotkał?

— Gdzieś na ulicy, przypadkowo. Kapitan obserwował go uważnie. „Wybrał najgorszą metodę obrony — pomyślał — obrony jednak przed czym?”

— Pewnych rzeczy jednak, jak się okazuje, pan nie pamięta — ciągnął dalej swobodnym tonem. — Widziano na przykład pana z Żeleńskim w kawiarni, a potem... — zawiesił głos wspólnie w samochodzie. Marki „Polski Fiat”, beżowego koloru...

Grabowski przełknął z trudem ślinę.

— Pan żartuje...

Dlaczego? Co w tym dziwnego, że pana dobry znajomy, a nawet chyba przyjaciel, podwiózł pana swoim samochodem... Skrzywił usta w uśmiechu.

— Nic mieszkam już przecież, we Wrocławiu...

— A jednak widziano was razem, powiedzmy tydzień temu w pewnej podwrocławskiej miejscowości. Może przypomni sobie pan, w której?

Zagryzł wargi.

— Czy to formalne przesłuchanie? — oburzył się niespodziewanie — A jeśli tak, to o co jestem podejrzany?

Sicniuc podniósł się ciężko z krzesła. ? — Niepotrzebnie się pan denerwuje. Po prostu rozmawiamy... I

— Ale dlaczego tu?

— To znaczy gdzie?

— No, u pana?

— Zwykły przypadek — westchnął Sieniuc możemy przenieść się równie dobrze do kawiarni.

Spojrzał złym wzrokiem.

— Pan kpi?

— Dlaczego? Odpowiadam tylko na pana pytania. Wracając jednak do Żeleńskiego...

Spojrzał koso.

— Co mu się stało? —zdo był się wreszcie na pytanie, którego wydawało się dotąd unikał.

— A co miało się stać? —Poczerwieniał.

— No, bo myślałem, że nasza rozmowa do czegoś musi zmierzać...

— I tak jest w istocie —zgodził się Sieniuc. Popatrzył zbaraniałym wzrokiem na, kapitana.

— Nic nie rozumiem... — rozłożył ręce.

— To może na tym skończymy naszą rozmowę — zdecydował niespodziewanie Sieniuc. Myślę, że wkrótce chyba znowu się zobaczymy...

Grabowski przygarbił się, usiłował uśmiechnąć i wyszedł szybko z pokoju.

Z korytarza zajrzał porucznik Altar.

— No i co?

— Zachowuje się dość spokojnie. Kręci i przeinacza fakty. Nie chce się przyznać do pewnych spotkań — w sumie nie sprawia korzystnego wrażenia...

Altar wzruszył ramionami.

— Jak go tu przycisnąć do muru?

— Trzeba będzie znaleźć na to sposób — odpowiedział Sieniuc — może sam nie wytrzyma nerwowo. Jak myślisz?

XXIII

Wywiadowca rzucił niedopałek papierosa, obciągnął marynarkę. Już zobaczy! tego człowieka, jak przemierzał na ukos ulicę. Na chwilę skrył go narożnik domu, potem jednak znowu wychynął w pełnym słońcu. Spieszył się wyraźnie, co trochę zaniepokoiło kaprała Szorstka; ostatnio dostawał zadyszki. Czy to aby nie te papierosy? — zatroskał się.

Grabowski o mało nie wpadł pod nadjeżdżający samochód.

Wariat! — zirytował się Szorstek. Znaleźli się wreszcie — obserwowany i obserwujący — w cichym zaułku, gdzie znajdowała się mała zaciszna knajpka, pozbawiona o tej porze zwykłych, krzykliwych gości.

Grabowski wsunął się w kąt pod oknem, zajął miejsce przy stole, zagapił się na jakiś landszaft z jele- niem na rykowisku i pastuszkiem z przylepioną do ust fujarką.

Z krzesła podniosła się leniwie kelnerka nadmiernie rozrośnięta w biodrach.

— Pan sobie życzy?

Czego sobie zażyczył, wywiadowca zobaczył dopiero po dziesięciu minutach; czas w tym lokalu jakby stanął w miejscu, nikomu się nie śpieszyło.

Na wniesionej godnie tacy brzęczały leciutko szklanka, kieliszek, karafka z wódką i butelka wody mineralnej.

— Będzie również jakaś zakąska? Grabowski jakby się ocknął.

— Nie. Dziękuję.

— Ale tak trzeba — kelnerka teraz sobie dopiero przypomniała zarządzenia dotyczące podawania wódki.

Machnął w odpowiedzi ręką.

— — Siedź w śmietanie.

— Brak.

— No to w oleju.

— Nie ma śledzi w ogóle.

— A co jest?

— Ser.

— Niech więc pani da ser — zniecierpliwiał się. Szorstek otarł chusteczką pot z czoła; ten lokal nie miał chyba wcale wentylacji,

Przywołał kelnerkę, poprosił o butelkę mineralnej i bułkę z serem.

Popatrzyła na niego złym wzrokiem.

— Zaraz.

Westchnął, gdyż wiedział, iż to oznacza kwadrans czekania. Zresztą, zreflektował się, miał czas. jego człowiek przecież był dopiero po pierwszym kieliszku^

Dostał bułkę z serem o konsystencji gumy dopiero wówczas, kiedy Grabowski, po wysączeniu wódki, odsunął od siebie ostentacyjnie przekąskę. Potem wstał z krzesła, wsunął kelnerce do ręki zwinięty w rulonik banknot i wyszedł na zalaną słońcem ulicę.

Szorstek przylepił się znowu do niego jak cień. Znaleźli się na placu. W pewnym momencie Grabowski poderwał się do biegu. Zrobił to tak niespodziewanie, że wywiadowca zdecydował się na pogoń za nim dopiero po upływie kilku sekund. Obaj jednak, zadyszani i spoceni, znaleźli się w końcu w jednym tramwaju zdążającym w kierunku nadrzecznej plaży.

„Czyżby chciał zażyć o tej porze kąpieli?” — zdziwił się Szorstek.

Wóz z brzękiem zatoczył łuk i zatrzymał się niemal naprzeciw szerokiej nadodrzańskiej piaszczystej łąchy. Tłum pasażerów wysypał się ze wszystkich drzwi. Brnęli na przełaj ku błyszczącej, znieruchomiałej w słońcu tafli wody.

Szorstek rozejrzał się gorączkowo; stał tuż przy Grabowskim, kiedy rozdzielił ich napierający tłum. Chwilę później już nie było po Grabowskim śladu. Wściekły zacisnął dłonie w pięści.

Sieniuc przyjął tę wiadomość prawie spokojnie.

— Widzieliście, jak szedł w stronę plaży? Szorstek kiwnął głową. Jeszcze teraz widział tę twarz odpływającą w ciżbie plażowiczów w stronę rzeki.

— Może zauważył was i chciał po prostu umknąć? ?

Było to pytanie retoryczne.

Szorstek pomyślał, że zrobił błąd; mógł po prostu na niego zaczekać na ulicy po co wchodził do tej knajpy? To szczwany lis.

Sieniuc poklepał go po ramieniu. Był optymistą.

— Stało się. Nie martwcie się. Chyba nam nie zginie.

Te słowa nie sprawdziły się jednak — Grabowski niespodziewanie zaginał. Na brzegu rzeki, niedaleko strzeżonej plaży, znaleziono równiutko ułożone jego ubranie. W bocznej kieszonce marynarki tkwił dowód osobisty, w spodniach znajdowała się portmonetka, a w niej ponad trzysta złotych, kilka biletów tramwajowych, mały scyzoryk o dwóch ostrzach.

Garnitur został na piaszczystej łasze, człowiek zaś zniknął bez śladu. — Utopił się chyba — powiedział porucznik Altar.

Sieniuć skrzywił się kwaśno.

— Nie wyciągajcie zbyt pochopnych wniosków. Jeśli był złym pływakiem, nie poszedłby przecież na dziką plażę i nie wskakiwałby bez namysłu do wody. Zwłaszcza po takiej wódce...

— Ano właśnie...

Sieniuć nawet nie spojrzął na porucznika.

— Grabowski nie był szczeniakiem, który dodaje sobie za pomocą alkoholu animuszu przed skokiem w głębinę. Zbyt go sobie lekceważycie.

Allar— zmrużył powieki.

— A jeśli to było samobójstwo?

— Po naszej rozmowie w sprawie Żeleńskiego? Porucznik opuścił powieki.

— Odpowiem wam na to pytanie. Czytaliście jego biografie? Rozumiecie więc, że to twardy przeciwnik, Złamię go dopiero rozpacz. Ale on nie tak łatwo ulega rozpacz. Jego nienasyconą chciwość postaramy się odpowiednio wykorzystać...

Sierżant Zenobiusz z posterunku Kawczyce niedaleko Opola nie miał zbyt wielkiej ochoty na codzienny obchód swego rejonu; od rana rozpadał się deszcz, na drogach potworzyły się wielkie kałuże. Naciągnął w końcu płaszcz, poprawił pas z kaburą.

O pięćset metrów dalej znajdowała się stacja, zawsze gwarny peron, bufet, przy którym aż się roiło od piwoszów. Swoich i obcych. Swoich znał i bez trudu przywoływał ich do porządku, z innymi było niekiedy trochę kłopotów, szczególnie z młokosami, którzy już po jednym jasnym usiłowaniu zdobyć świat. A jaki to był świat przy stacji: kilka domów na krzyż i wielkie przestrzenie pól.

Był już blisko peronu, kiedy z hukiem wtoczył się pociąg osobowy z Wrocławia. Postanowił obejrzeć sobie nowo przybyłych. Nigdy nic nie wiadomo... Kiedyś udało mu się zatrzymać dwóch opryszków, którzy z tobołami pełnymi łupów zdążyli via Poznań na Wybrzeże, a parę lal temu wpadł nawet na trop rzezimiesz-

ka poszukiwanego za pomocą listów gończych. Dostał za to list pochwalny z Komendy Wojewódzkiej i nagrodę z Głównej.

Warto więc przespacerować się po stacji i peronie. Pociąg stał już znieruchomiały pod sztywnym ramieniem semafora. Ruszyła pierwsza fala ludzka; najpierw robotnicy pracujący w pobliskiej cementowni. Zlustrował ich baczным wzrokiem; sami znajomi.

Nie wszyscy jednak jeszcze wysiedli. Oto schodzi na peron jakaś para starszków, chyba przyjechali w odwiedziny do krewnych, tam zaś przemyka się miody człowiek, osłaniając twarz przed deszczem.

Rozpadało się na dobre. Sierżant ocierając mokrą twarz chciał już zawrócić do poczekalni, kiedy spostrzegł kolejnego podróżnego; szedł w samej koszuli, jakiś zmięty.

Przyśpieszył kroku, zrównał się niemal z podróżnym, człowiekiem już niemłodym. Tamten jednak wyraźnie był usposobiony nietowarzysko, pchnął z rozpędu drzwi do bufetu, skręcił do okiennej wnęki i tam oparł się na łokciach, jak człowiek pragnący tylko spokoju.

Sierżant jednak nie dawał się łatwo zbić z tropu. Elastycznym, odmierzonym krokiem zrobił łuk po sali i przystanął w pobliżu gościa w rozchełstanej koszuli.

Podszedł bliżej, przypatrzył się bacznie podróżnemu. Miał jakieś wyblakłe spojrzenie, ostre rysy. Wydał mu się dziwnie znajomy. Czy przypadkiem gdzieś go już nic widział? Ba, tylko gdzie? Na pewno nie tutaj, w tej małej zabitej deskami miejscowości. Jeśli jednak nic tu, to gdzie?

Postanowił rozstrzygnąć swoje wątpliwości.

— Pan pozwoli dokumenty.

Zobaczył zdziwienie w oczach tamtego. Odwrócił się powoli. Miał nadal rozpiętą pod szyją koszulę, wilgotne smugi na twarzy.

— Czego pan chce? ? — zapytał, choć doskonale wiedział, czego może chcieć milicjant na takiej małej stacyjce. Sięgnął więc ręką do kieszeni spodni, gmerał w niej długo, potem zaś na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. Uśmiechnął się blado, niemal przeprasząc.

— Niech pan sobie wyobrazi, że nie mam przy. sobie żadnych dokumentów. Zostawiłem je w domu.

Sierżant zachował surowy wyraz twarzy.

— A miał je pan kiedyś?

Już teraz nic patyczkował się z nim wiele. Ten człowiek coś ukrywał, to było prawic pewne. Znał takich ptaszków. W końcu przesłużył już w milicji swoje dwadzieścia lat.

— Gdzie pan mieszka? Jakby się zastanowił.

— W Poznaniu.

— Ulica? Numer domu? Nazwisko? Opowiadał w innej kolejności.

Jan Bączek. Szeroka siedem.

— Kto to może potwierdzić? Wzruszył obojętnie ramionami.

— Jeśli mi pan nie wierzy...

Sierżant pomyślał, że wiara nic ma tu nic do rzeczy.

— Po co pan przyjechał i przede wszystkim do kogo?

Drgnął. Wyraźnie drgnął.

— Nie wie pan? — spytał z niedowierzaniem. Tu żadne kłamstwo nie mogło go zwieść, znał dobrze wszystkich mieszkańców osady.

Mężczyzna nadal milczał. Zenobiusz postanowił już nie przeciągać tej rozmowy.

— No to pójdziemy.

— Dokąd? — nieznajomy odzyskał wreszcie mowę.

— Niedaleko. Na posterunek. Tam sprawdzimy wszystko.

Trochę się ociągał, w końcu jednak wyprostował się i oderwał od parapetu.

— Jak pan chce...

Poszedł pierwszy. Przemierzali na ukos peron. Był pusty, ale gdzieś z daleka narastał już łoskot pociągu.

Nieznajomy pochylił się niespodziewanie, dotknął buta.

— Snurowadła — mruknął pod nosem. Sierżant przystanął niecierpliwie.

— Niech się pan pośpieszy.

Coraz bardziej zaczął mu się ten człowiek nic podobać.

Gdzieś blisko zadyszkała lokomotywa. Buchała kłębamii pary. W tym momencie nieznajomy wyprostował się błyskawicznie, rzucił się do biegu.

— Stać!

Zniknął w tumanie pary. Na chwilę zamajaczył na wysokim peronie. Skoczył, tuż przed zatrzymującym się już parowozem. Stój!

Wszelka pogoń była już bezskuteczna.

Altar otrzymał meldunek z posterunku w godzinę później; w zbiegu rozpoznano Grabowskiego. To był na pewno on. Wątpliwości rozwiązy bez reszty zdjęcia podejrzanego, na których sierżant Zenobiusz bez trudu rozpoznał Grabowskiego.

A więc zmartwychwstał niespodziewanie, tak zresztą jak już to wcześniej przewidziano: ten „nie-szczęśliwy wypadek” nad Odrą był tylko kamuflażem. Czy zechce on jednak teraz ratować tylko własną skórę, czy coś więcej?

Sieniuc uważał, że „natura pociągnie wilka do lasu”, ergo Grabowski nie tak łatwo zrezygnuje z pieniędzy.

— Uzbrójmy się w cierpliwość, wpadnie nam w ręce wcześniej czy później. To tylko kwestia czasu.

Trudno było nie podzielać jego optymizmu. Chodziło teraz o ten ostateczny dowód obciążający Grabowskiego.

* * *

Dom stał na uboczu. W jego rynnach bulgotała woda; od wieczora rozpadał się deszcz i bębnił miarowo po dachówkach.

Szyby pobłyskiwały matowo; nic rozświetlało ich żadne światło. A jednak wiedzieli, że w środku ktoś jest. Skrzypnęły przecież drzwi, przez próg przemknął się jakiś cień.

Czekali już od kilku długich godzin, wyjdzie, nie wyjdzie? Zdecyduje się wreszcie na jakiś krok?

Jeden z milicjantów spojrzął na zegarek. Wskazówki fosforyzowały lekko; dochodziła dwudziesta trzecia. Wyjdzie czy nie wyjdzie? Co robić?

Można by jeszcze wytrzymać tę godzinę, dwie. Kto wie, czy nie przyszedł tu tylko, żeby się przespać, wszak kluczył ostatnio po całym kraju w poszukiwaniu kryjówki. Jeśli jej nie znalazł, musiał przyjść tu. Może też chce wreszcie uregulować jakąś inną sprawę.

Kwadrans. Tylko piętnaście minut. Zaciążyły niebezpiecznie powieki. Przespać się — godzinę, dwie. Nawet w tym szumiącym ciągle, przenikającym zimnem do szpiku kości, deszczu.

Na szybie zapełgało światło; nikły ogienek, jakby ktoś trzasnął zapałką o draskę. Zatliły się drobne iskierki, okno pojaśniało na moment i znowu zapadło w ciemność.

Północ. Już północ. Chyba zasnął... Zamarli w bezruchu.

Skrzypnęły drzwi. Zobaczyli go; wyraźny cień na tle białych ścian domu. Słysząc było wyraźnie jego kroki. .

Przy furtce zatrzymał się. na chwilę, potem sięgnął ręką do zasuwki, odsunął ją energicznie i pobiegł ścieżką w stronę lasu. Przy pierwszych drzewach przystanął jednak i odtąd posuwał się ostrożnie, od pnia do pnia. ciemność bowiem zgęstniała jeszcze bardziej.

Po dziesięciu minutach marszu zatrzymał się nagle, odmierzył kilkoma krokami maty kwadrat — i zaczął kopać. Szło mu niesporo. Wilgotny gruby mech niełatwo poddawał się ostrzu łopaty. Pod nim zaś zagrzytały twarde korzenie.

Wyprostował obolały kark, starł wierzchem dłoni wilgotne od deszczu i potu czoło i tak zastygł w bezruchu. Gdzieś bowiem obok trzasnęła głośno gałązka, ktoś oparł się o szurpaty pień sosny.

Odskoczył podnosząc nad głową obronnym gestem krótką łopatę. Już byli jednak przy nim. Bronił się zaciekle.

— Spokojnie, panie Grabowski!

Zwiotczał wówczas, odrzucił szpadel. Biernie patrzył też, jak jeden z milicjantów podnosi mały tobolek szmat. Popchnięty lekko ruszył przed siebie.

XXIV

— Co ma pan teraz do powiedzenia? Rzucone to było niemal przyjacielskim tonem.

Grabowski nie poruszył się jednak, patrzył niewidzącym wzrokiem w drzwi, w błękitniejące po wczorajszym deszczu niebo.

Sieniuc nie okazał zniecierpliwienia. Wstał z krzesła, uchylił nieco okno. znowu powrócił na swoje miejsce.

Przesłuchiwany poruszył się wreszcie.

— O co mnie podejrzewacie? Kapitan zdumiał się.

— To jeszcze pan tego nie wie?

— Nie! — spojrzał prosto w oczy Sieniucowi — jeśli chodzi o Żeleńskiego...

— Nie tylko — powiedział dobitnie kapitan — nie tylko, panie Grabowski! Te pieniądze...

— Obawiałem się złodziei! odparował szybko.

— Chyba się nie rozumiemy.

— Wspomniał pan przecież o pieniądzach? —? twarz Grabowskiego nabrała normalnego koloru. Zaczynał spokojnie swą grę.

Sieniuc skinął głową. — Zgadza się. tylko że obaj mówimy o czymś zupełnie innym... Chodzi mi o zrabowane pieniądze.

Doskonale udał zdumienie.

Zrabowane? Zdaje się, że się przesłyszałem?

Usiłował ironizować, ale wyglądało to nader żałośnie. Kapitan postawił krzesło bliżej niego.

— Pomówmy wreszcie serio. Wiemy o panu bardzo wiele, więcej niż pan przypuszcza.

Spojrzał wyczekująco na Grabowskiego. Ten siedział nieporuszony. Na twarzy nic drgnął mu nawet mu skuł.

— Nie chce więc pan mówić? Poczekamy, mamy czas. Pragnę tylko zwrócić uwagę, że popełnił pan kilka grubych błędów w tej zaplanowanej zbrodni... Błędów, które tutaj właśnie pana doprowadziły.

Grabowski odetchnął głęboko, jakby budził się z głębokiego snu.

— Ciągle nic wiem, o czym pan mówi — zaryzykował wreszcie kolejną fazę obrony — pieniądze...

— Dostał pan od wujka z Ameryki! — nie wytrzymał Sieniuc — równe dwieście tysięcy!? I ów wujek przesłał je panu w czarnej nieco podniszczonej walizce wartkiej niewiele...

Zesztywniał.

— Chce mnie pan w coś zrobić — powiedział jękającym się głosem — jaka walizka?

Kapitan spojrzał na niego z politowaniem. Już bowiem wiedział, że taksówkarz z Wrocławia wiozący nocną porą osobnika z walizką, rozpoznał bezbłędnie na przedstawionych mu fotografiach Grabowskiego. Późniejsza konfrontacja tych obu mężczyzn — również potwierdziła tezę milicji...

Sieniuc zmienił ton na bardziej rzeczowy.

— Od jak dawna znał pan Grocholskiego? Grabowski wybałuszył w odpowiedzi oczy.

— Grocholskiego?

— Tak.

— W ogóle nie znałem.

— Pokazać panu pewien dokument?

— Proszę.

Kapitan sięgnął do szuflady — wyjął niewielką kartkę i podsunął ją Grabowskiemu.

— Nic rozumiem... — wyjąka! już po przeczytaniu pierwszych linijek tekstu.

— Wyłożę więc panu jaśniej. Ten paperek to pismo z więzienia we Wronkach, w którym siedział pan w latach tysiąc dziewięćset czterdzieści siedem do tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt trzy za napady z bronią w rękę. Jakiś czas w jednej celi przebywał z panem niejaki Grocholski, Albin Grocholski. Teraz pan rozumie?

Grabowski potarł machinalnie ręką policzek. Nie spojrzał na Sieniucia.

— To jednak nie wszystko. Mam coś jeszcze. Otóż w tym samym mniej więcej czasie zetknął się pan w więzieniu również z innym człowiekiem — Żeleńskim.

Podniósł gwałtownie głowę.

— Skąd wiecie, że to ten sam?

— Wystarczy, że wiemy. I że również doskonale wie o tym i pan.

Począł czekać chwilę.

— No to może pan wreszcie ze mną mówić? Oparł się łokciami o kolana i zanurzył twarz w dłoniach. Wyglądał na człowieka znużonego i cierpiącego. Poprosił o papierosa...

W istocie znali się od lat: Grabowski, Żeleński i Grocholski. Z tym że od początku on był osobą dominującą w tej trójce. Nie tylko przez cały więzienny okres, ale i później, kiedy w roku 1953 wyszli na wolność. Tu ich osobliwa przyjaźń jednak skończyła się tak nagle, jak się zaczęła; rozpięchli się pewnego dnia po Polsce. Najlepiej urządził się w życiu Żeleński — skończył szkołę średnią, dostał się na studia, zaczął pracować jako inżynier.

Grocholski? Trafił do swojej przystani w jednej z miejscowości w województwie bydgoskim, właśnie w owym Marciszowie. Był najpierw magazynierem w GS „Samopomoc Chłopska”, a później awansowano go na kierownika sklepu. Żył względnie dostatnio — i zupełnie zapomniał o swojej kryminalnej przeszłości. W końcu minęło już ponad dwadzieścia lat...

I oto przypadkowo ci dwaj ludzie z „ciemnych lat” spotkali się znowu. Za przyczyną Żeleńskiego, który podczas swoich licznych służbowych podróży zaczął się o Marciszów. Ponieważ zaś wcześniej zetknął się we Wrocławiu z Grabowskim — rychło doszło do spotkania tej trójki. Czy już wówczas Grabowski powziął swój perfidny plan zbrodni? Zaprzeczył. To przyszło później... Po miesiącu, a może nawet po dwóch.

Wiedział, że sklep „robi” pieniądze. One też musiały stać się jego własnością.

W jaki sposób zdołał namówić na to przestępstwo swego dawnego druha? Okazało się, że bez specjalnych kłopotów. Grocholski ciągle był zafascynowany osobowością swego dawniejszego przywódcy, a ponadto znalazł się w życiowej pułapce: nie udało mu się małżeństwo. Taki zaś związek, w warunkach wiejskiej społeczności, stawał się z każdym tygodniem coraz trudniejszy.

I ten właśnie moment wykorzystał Grabowski. Przedstawił mu sytuację tak: postara się najpierw o dobrą melinę, potem „autentycznie nowe” papiery. „Zmienisz tożsamość, zaczniesz inaczej żyć, do tego z kupą forsy w kieszeni”... — kusił.

Grocholski był człowiekiem słabym — poszedł na lep jego gładkich słów. Zresztą niemal zawsze mu wierzył bez reszty. Uwierzył więc i teraz, że wystarczy sprzeniewierzyć pieniądze, zapakować je w walizkę, wykupić bilet „donikąd” — i od tej chwili rozpocznie się nowy rozdział jego życia.

Tymczasem wszystko się skończyło w pobliżu małej stacyjki na przedpolach Wrocławia. Grabowski oczekiwał go już tam...

Dlaczego jednak nie wrócił natychmiast do Wrocławia, lecz ruszył w kurs taksówką? Z dwóch powodów: po pierwsze — nie chciał w nocy paradować przez miasto z tak rzucającym się w oczy przedmiotem i wchodzić do swego mieszkania pilnie obserwowanego przez zawistnych lokatorów, po drugie zaś — był to również pewien element jego planu kamuflowania rzeczywistości — wyobrażał sobie, iż milicję poszukującą już zapewne nieuczciwego kierownika wywiedzie w pole.

Co robił potem?

Przygodnym pociągiem dostał się w okolice Opola, do swojej przyjaciółki, i ukrył tam pieczołowicie zrabowany łup. Sądził, że już jest poza wszelkimi podejrzeniami. A jednak... Pozostał przecież Żeleński, o którym wiedział, iż kontaktuje się z Grocholskim. Jeśli więc tamten coś napomknie na temat swoich przestępczych planów? Przecież mimo upływu lat pozostali nadał „starymi kumplami”... Te obawy podsycaly i inne okoliczności — listy gończe rozesłane za Grocholskim. Żeleński je czytał i wyciągał wnioski.

Te obawy nie były zresztą bezpodstawne — inżynier zaczął poszukiwać Grabowskiego. I on jego również. Czas bowiem nagił; zbrodnia mogła wyjść na jaw. a wówczas taki świadek jak Żeleński stawał na wyjątkowo niebezpieczny. Musiał więc zniknąć. W ten sposób jedna zbrodnia pociągnęła za sobą drugą. Zanim jednak doszło do niej, Grabowski miał za sobą nieudaną próbę wyprawienia swego dawnego kumpla na tamten świat. Sposobem wytrawnego włamywacza dostał się do garażu Żeleńskiego, uszkodził układ hamulcowy. Konsekwencje późniejszej kraksy minęły się ze zbrodniczymi zamysłami Grabowskiego.

Trzeba było więc spróbować innego sposobu... .

Spotkali się wówczas w kawiarni. Scenę tę zaobserwował wywiadowca. Tam Grabowski „wyznał całą prawdę” Żeleńskiemu. Co powiedział? Że wie, gdzie się ukrył Grocholski. Zagrał *va banque*, chcąc uchronić siebie przed jakimikolwiek podejrzeniami. Żeleński uwierzył w bajeczkę o „oczekującym pomocy” starym przyjacielu. Czy chciał również wziąć udział w tej kryminalnej grze? Chyba nie, sądził, iż w ten sposób uratuje Grocholskiego, zresztą wobec niedwuznacznej postawy Grabowskiego nie miał wyboru. Mimo wszystko chciał go uchronić przed konsekwencjami jego nierozważnego kroku.

Oczywiście nie wiedział ponadto nic...

Pojechał, żeby zakończyć życie na dnie Odry. Kilka minut wcześniej wypił alkohol z domieszką środków nasennych, podany mu przez Grabowskiego...

Teraz podwójny morderca uznał, że dokonał zbrodni doskonalej. Miał pieniądze — i żadnych dowodów, że maczał w tej sprawie palce. Zabezpieczył się przed niespodziankami — i uważał, że zrobił to doskonale... Oczywiście nie była to prawda — przeoczył wiele. W pewnym momencie zdesperowany wstępnym przesłuchaniem w milicji, postanowił zniszczyć za sobą wszystkie ślady, upozorować swoją nieszczęśliwą śmierć w nurtach Odry. Sztuczka się nie udała, udaremnił ją również pewien wiejski milicjant. Znowu trafiono na jego ślad. Tropiono jednak podejrzanego, ale potrzebny był dowód ostateczny jego przestępstwa — zagarnięty od Grocholskiego łup.

Stąd ta zasadzka w lesie pod Opolem. Założono bowiem, że zabójca zechce odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. — i postanowi zrabowane pieniądze ukryć na długie miesiące. Do czasu, aż się wszystko wokół jego osoby uspokoi.

Popułnił kolejny błąd. Opętany bowiem żądzą pieniędzy dążył uparcie już w ostatniej fazie swej działalności do jednego tylko celu: zachowania łupu. I to go zgubiło.